Nr. 44. Warszawa, dnia 29 (17) Października 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejs Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

STARY KURS.

Trzymany za mocno ściśniętymi zębami język urzędu kanclerskiego w Niemczech zaczyna się powoli wysuwać i cedzić ostrożnie słówka w przedmiocie zamierzonej reformy wojska, pod którą naturalnie rozumieć należy zwiększenie wydatków. Zdawało się, że ks. Bismark wykształcił swoich podwładnych w milczeniu do najwyższego stopnia: chodzili oni między natrętnymi reporterami jak duchy spirytystyczne, jak głuchoniemi, jak ludzie, którym sklejono i opieczętowano wargi. Mimo to od czasu do czasu tajemnica przedostawała się na zewnątrz, czy za pośrednictwem znaczącej miny tego lub owego radcy, czy za pośrednictwem gadatliwości jakiegoś posła, z którym kanclerz porozumiewał się. O wielu projektach rządu, jeszcze niegotowych, dopiero opracowanych lub tylko zamierzonych, świergotały nieraz wróble dziennikarskie na kilka miesięcy lub tygodni przed ujawnieniem ich w sejmie. Wróble te skarżyły się na szczupłość pożywienia, miały jednak swoje okruchy. Tymczasem po objęciu kanclerstwa przez Capriviego straciły one nawet ten skąpy pokarm, a małomówny generał, który w żadnej sztuce dyplomatycznej nie dorównał swemu poprzednikowi, w tej jednej go przewyższył. Nietylko bowiem sam lepiej od niego milczał, ale swoich podwładnych zawzięciej milczeć nauczył. Od ilu to już miesięcy wiadomo, że rząd przygotował reformę wojskową i żądać będzie na nią nowych zasiłków; od ilu miesięcy opinia publiczna kotłuje się domysłami; od ilu miesięcy naród drży w niepewności, a jednakże, chociaż sejm zbiera się wkrótce, dotąd tajemnicy nie zdołano przeniknąć. Przed kilku wreszcie dniami zdjęto z niej grubą zasłonę a pozostawiono nieco przejrzystą. A więc projekt ów przedewszystkiem podnosi liczebność armii do 4½ miliona ludzi, łącznie z pomnożeniem instytucyj, kształcących żołnierzy. Podwyżka i zmiany będą przeprowadzone we wszystkich oddziałach armii, głównie wszakże w artyleryi. Na początek — pierwszego roku — ta podwalina „zbrojnego pokoju“ będzie kosztowała około 50 milionów marek, w następnych zaś latach przybędą dodatki budżetowe. Szczegóły pomijamy.

Rozumie się, że projekt „reformy,“ znacznie zwiększający i tak już olbrzymi ciężar militaryzmu, musi być usprawiedliwiony. Rząd nie może powiedzieć do sejmu: dodajcie mi tyle a tyle milionów na wojsko — bez wskazania słusznych powodów takiego żądania. Więc też podano je, a podano takie, jakie jedynie zdolne są je wytłomaczyć i oddziałać na sejmujących — względy bezpieczeństwa a raczej niebezpieczeństwa ojczyzny. Wyliczono, że zarówno Rosya, jak Francya, posiadają dziś większe siły zbrojne, niż Niemcy, że więc te ostatnie są z dwu stron zagrożone. Poseł Richter, słynny znawca tego przedmiotu, wykazywał za czasów Bismarka stałe naciągania i „kuglarstwo cyfr“ w tego rodzaju rachunkach i porównaniach, które nie tak łatwo sprawdzić można, jakby się zdawało z pozoru, pomimo że wszystkie państwa ujawniają liczebność swych wojsk. Czy on i w tym wypadku zburzy krytyką wywody rządowe — nie wiemy. Zauważymy tylko, że „nowy kurs“ wjechał na tory starego. Ile razy Bismark chciał z sejmu wydobyć zgodę na pomnożenie armii, zawsze go straszył możliwością blizkiej wojny, niepewnością położenia, „zachmurzonym widnokręgiem“ i tym podobnemi widmami. Gdy ogólniki nie skutkowały, budował na zachodzie słynne „baraki,“ o których francuzi nigdy nie myśleli, przysuwał na wschodzie korpusy ruskie ku granicy, wskazywał jakiś punkt ciemny na półwyspie Bałkańskim itd. Po uchwaleniu budżetu wszystkie te strachy nagle znikały. Otóż Caprivi w motywach projektu użył tego samego, wypróbowanego środka. Znowu od wschodu i zachodu horyzont zaciąga się chmurami, znowu Niemcy są opasane żelazną, coraz bardziej ściskającą się obręczą, brak tylko francuskich baraków, które okazały się zbyt kompromitujące.

Zwracamy na ten alarm uwagę nie dla celów humorystycznych, ale dla wyjaśnienia czytelnikom właściwych jego pobudek. Gdy za sznur tego dzwonu w Niemczech pociąga ręka urzędowa, nie znaczy to, że Europie grozi wojna, ale że rząd chce nią przerazić filistrów i skłonić ich do ofiar na ołtarzu Marsa. Niemcy za wszelką cenę wysiłków pragną utrzymać się „na przedzie“ pod względem uzbrojeń, obecna więc „reforma“ nie dąży do zrównania ich z innemi państwami, ale do wysunięcia przed inne, które się z niemi zrównały. Nie chodzi w niej o równowagę, ale o przewagę. Na to pójdą żądane miliony, taki jest *Pudels Kern.*

ZATARGI WĘGIERSKIE.

Kto pragnie objąć jednym rzutem oka całokształt życia wewnętrznego monarchii austro-węgierskiej, niechaj spojrzy na wypadki, których widownią był w ostatnim tygodniu i jest dotychczas Budapeszt. Znajdzie tu wszystko obok siebie, co tylko dla obu części państwa Habsburgów i dla wzajemnego ich stosunku jest charakterystycznem. Znajdzie po stronie austryackiej ujęty w ciasne ramy posiedzeń delegacyjnych miniaturowy obraz komedyi parlamentarnej, granej od lat wielu na scenie wiedeńskiej, komedyi, w której wprawdzie aktorowie czasem zmieniają swe role, lecz treść pozostaje zawsze ta sama, tj. równa zeru. Znajdzie natomiast po stronie węgierskiej na porządku dziennym kwestyę poważną, rozogniającą wszystkie umysły, a której rozwiązania w duchu postępowym podejmuje się rząd sam ze śmiałością zaiste podziwienia godną: kwestyę równouprawnienia wyznań, zaprowadzenia obowiązkowych ślubów cywilnych itd., czyli słowem, walkę państwa z kościołem. Znajdzie wreszcie obok tego w głośnej sprawie

uwieńczenia pomnika Hentziego dowód jaskrawy na to, że węzły, łączące żywotną część monarchii z drugą sparaliżowaną jej połową, zamiast zacieśniać, rozluźniają się coraz bardziej.

W delegacyi austryackiej młodo-czesi odegrali tego roku rolę opozycyi. Wywiązali się z tego zadania jak aktorowie przeciętni, nie lepiej i nie gorzej, jak każde inne stronnictwo, któremuby ona przypadła. Oponowali sumiennie, lecz szablonowo, tj. przeczyli wszystkiemu, co rząd twierdził, mniej więcej tak samo, jak adwokat, przeczący w procesie z obowiązku wszystkiemu, co przytacza adwokat strony przeciwnej. Zaczepili trójprzymierze, poddali administracyę w Bośni i Hercegowinie niemiłosiernej krytyce, wystąpili przeciw samowładztwu języka niemieckiego, odzywali się ze swem „veto“ przy każdej większej lub mniejszej sposobności. Widać w tem było pewną młodzieńczą zapalczywość, naturalną zresztą u debiutantów politycznych, jakimi są młodo-czesi. Czy jednak debiutanci owi wżyli się tak zupełnie w swe role. Nie łatwiej byłoby też rozstrzygnąć, jak dalece brali na seryo swą rolę ich przeciwnicy. Plener i jego towarzysze, którzy niegdyś sami w sprawach, dotyczących krajów zajętych, stawiali rządowi opór, dziś z niewzruszoną powagą gromili swych następców w opozycyi.

Są to jednak kwestye, nad któremi zastanawiać się zbytecznie. W Austryi bowiem nie rozstrzygają tyle zapatrywania pewnego stronnictwa politycznego na jego stosunek do rządu, ile odwrotnie, stosunek do rządu wywołuje dopiero odpowiednie przekonania. To też naturalnem było, że przeciw śmiałej garstce zaczepiających wystąpiły zwartym szeregiem wszystkie partye reprezentowane w delegacyi i z oburzeniem odparły zuchwały napad na świętość trójprzymierza i na rządy ministra Kallaya. Wogóle przebieg posiedzeń streścimy, jeśli powiemy, że każda strona znalazła się podczas nich odpowiednio i wypowiedziała to, czego od niej oczekiwano, począwszy od ministra Kalnokego, który znów na pewien czas „uspokoił Europę“ swemi słowy, aż do Plenera, który wykazał, o ile większe są zasługi jego stronnictwa około państwa, niż zasługi wszystkich innych stronnictw skojarzonych z rządem. Ministrowi wojny uchwalono, czego tylko żądał. Jedyną tedy nieprzewidzianą okolicznością w ciągu sesyi był — kalambur młodo-czecha Eima, który sprawozdanie ministra Kallaya nazwał „kalejdoskopem“ i tak tanim kosztem ubawił całe zgromadzenie.

Obfitszym w nadzwyczajne wypadki i nieprzewidziane zwroty był czas ostatni dla Węgier. Tu sprawa kościelna stanęła na porządku dziennym i nie mniej, niż cztery starcia zarysowały się odrazu na widnokręgu politycznym. Przedewszystkiem najbliższe i jawne zupełnie w łonie gabinetu, w którym ministrowie Csaky, Szilagyi, Wekeler i Bethlen żądają stanowczo zaprowadzenia reform liberalnych, podczas gdy reszta ich kolegów z prezesem gabinetu hr. Szaparym na czele broni praw kościoła i obecnego stanu rzeczy. Następnie bardziej ukryte, nie podnoszono w prasie, a jednak dla uważniejszego widza dostrzegalne starcie między liberalną częścią gabinetu a osobistemi zapatrywaniami i pragnieniami cesarza, który wierny tradycyom domu Habsburgów, jako monarcha „apostolski,“ czuje niechęć ku otwartemu zamachowi na powagę Kościoła. W dalszej nieco przyszłości ukazuje się trzecie a najgroźniejsze może starcie między obiema częściami ciała ustawodawczego: Izbą posłów, która z entuzyazmem przyjmuje liberalne projekty rządowe, a Izbą magnatów, w której większość zachowawcza odrzuci je z oburzeniem. Wreszcie gdyby i ta trudność pokonana została, Kościół sam gotów podjąć w ostatniej chwili walkę otwartą o swe prawa. Jak wojowniczego zaś usposobienia jest duchowieństwo węgierskie, dowiodło ono w głośnej sprawie chrztu dzieci z małżeństw mieszanych, która w ciągu ostatnich lat kilkakroć spychana przez ostrożniejszych polityków zawsze dzięki zapalczywości episkopatu węgierskiego, znów wyrwała się naprzód i doprowadza do gwałtownych zatargów między stronnictwami. Owóż właśnie ostatnie starcie tego rodzaju, które odbyło się przed kilku zaledwie miesiącami, stało się punktem wyjścia dla akcyi podjętej obecnie przez ministrów liberalnych, a mającej na celu, jak wspominałem już, zaprowadzenie obowiązkowego ślubu cywilnego, cywilnych metryk chrztu i równouprawnienie wyznań. Było ono więc prologiem do dramatu, mającego się rozegrać w najbliższym czasie. Jakiem będzie rozwiązanie, nikt chyba przepowiedzieć nie zdoła. Jak bowiem z jednej strony liczyć się trzeba z olbrzymią potęgą wpływów kościelnych i ducha zachowawczego w monarchii habsburskiej tak z drugiej nie należy zapominać o tem,, że sprawa rozgrywa się w Węgrzech, a więc w kraju, w którym nacisk opinii publicznej jest w stanie obalić najsilniejsze zapory, wśród ogółu, w którym każda iskra rozniecа groźne pożary.

Jaskrawy przykład tego dostarczyły właśnie dnie ostatnie. Przy uroczystości odsłonięcia pomnika honwedów z r. 1848, mającej się odbyć na początku listopada, miał wedle programu urzędowego komendant miasta złożyć w imieniu armii wieniec na grobowcu poległych, a natomiast najstarszy z żyjących honwedów uwieńczyć pomnik generała Hentziego, komendanta twierdzy Budy, który walczną jej obronę w roku 1848 przypłacił życiem. Uroczystość ta byłaby więc niejako świętem wzajemnego przebaczenia. Myśl ta na pozór szczęśliwa drogo kosztowała jej autorów. W mgnieniu oka zebrały się ciężkie chmury nad ich głowami i wybuchła burza, jakiej Peszt dawno nie widział. Wszystkie grupy opozycyjne parlamentu węgierskiego zerwały się jak jeden mąż, aby odeprzeć wniosek. Na nieszczęśliwego prezesa gabinetu zlewa się od dni kilku nawalnica wyrzutów, obelg i gróźb, wygłaszanych z oburzeniem bezgranicznem. Niepodobna ostać się wobec przeciwników, walczących z takim impetem — i dlatego nie trudno przewidzieć, jakim będzie koniec sprawy. Autorowie niefortunnego programu cofają się już teraz; odłożyli tymczasem uroczystość do roku przyszłego i niezawodnie później całkiem jej się wyrzekną.

Zajście to wywołało głębokie rozgoryczenie w wyższych kołach austryackich. Istotnie bowiem stał się wypadek bezprzykładny. Zaofiarowano Węgrom urzędowe uczczenie ich powstania i zażądano od nich w zamian uczczenia przeciwników, poległych w boju uczciwym; a oni propozycyę tę nietylko odrzucili, lecz nawet za zniewagę poczytali. Wprawdzie niektórzy z mówców opozycyjnych tłomaczyli swe stanowisko okolicznością historyczną, iż generał

---

23)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

Tak jest, upadłem.

Bo też ta cnota jest za nudna. Niepodobna przecież zawsze kręcić się samotnie, skoro zaś człowiek znajdzie się w towarzystwie, jakże znowu siedzieć niby faryzeusz, niby wyrzut sumienia wszystkich obecnych — to przecież niesmaczne. Bodaj dla samej przyzwoitości bierze się kieliszek, jeden tylko; wychyliwszy go, złamałeś zasadę — więc dalejże jeszcze pół kieliszka i jeszcze pół, aż w końcu trzeba się kazać zawieźć do domu.

Wogóle wziąwszy, wiązać swoją wolę — nie wolno ci tego a tego itd. — dla człowieka inteligentnego to rzecz niemożliwa. A i po co męczyć się? Jakie to przecież wszystko obojętne! Gdyby można było istotnie wierzyć w wędrówkę duszy...

* * *

Jestem człowiekiem kulturalnym. Dowiodłem sobie sam, że umiem pozbywać się nawyknień i słabostek; a oto teraz chcę sobie dowieść, że umiem być wolnym.

Krępowanie woli jest stanowiskiem nizkiem, napół tylko ludzkiem.

XXXIV.

Widownia: ulica Karola-Jana. *Osoby*: Żółtodziób, Jerzy Jonatan, G. Gram.

Żółtodziób. Dobrze, alеż N. N. nie ma młodzieży za sobą.

Jerzy Jonatan. Czy to takie ważne?

Żółtodziób. Ważne? Młodzież — to przyszłość przecie!

Jerzy Jonatan. Tak, skoro się zestarzeje.

Żółtodziób (trochę zmieszany). Ale... no tak, ale — pan pojmujesz przecie, że...

Jerzy Jonatan. Młodzież pójdzie za każdym, kto potrafi krzyczeć. Powiem panu jedno tylko: człowiek zaczyna żyć dopiero po czterdziestce — kiedy wydostawszy się ze śmietniska babskiego, zaczyna czyściejszem okiem w świat patrzeć.

Żółtodziób (gniewnie). Człowiek zaczyna żyć przy latach dwudziestu; natenczas umie kochać i nienawidzieć; wtedy to posiada ogień... pragnie czegoś!

Jerzy Jonatan. Dobry Boże, ci dwudziestoletni — to niezupełnie jeszcze uleczeni *self-abusers*. Nie widzę tam ognia, za to słyszę o zmęczeniu, znużeniu, braku siły do działania, o niesmaku życiowym; skarżą się, że wszędzie im źle, że nic ich nie zajmuje; odkąd pamiętam, słyszę zawsze rozlegającą się z tego obozu „młodych“ kocią nutę jęków. Nic, z młodzieży nic nam nie przyjdzie. Rzemiosłem i zadaniem jej jest obcałowywanie dziewcząt i pisanie łzawych rymów i romansów.

Żółtodziób (z rozczerwienialym grzebieniem). Pardon, myślałem, że jesteś pan człowiekiem nowoczesnym. Adieu (obraca się na piętach, znika).

Jerzy Jonatan (gwiżdże i uśmiecha się). *All right!*

Gram. Ot, irytujący się młodzieniec. Lecz nie powinieneś pan był mówić w ten sposób o młodzieży — swoją drogą.

Jerzy Jonatan. Doprawdy?

Gram. Pozbawiłeś mnie pan mojej publiczności. Cóż teraz czynić będę w piśmie waszem?

Jerzy Jonatan. Stworzysz pan sobie publiczność. Smacznego!

„Arystokracya przyszłości“ — wyraz ten rozbrzmiewa tu i owdzie i właśnie w stwarzaniu takiej arystokracyi chciałbym być pomocnym.

Lecz gdzie znajdę materyał, z którego możnaby stwarzać?

Arystokracyi niepodobna „robić“ tak, jak się robi demokracyę; musi się urodzić. Lecz gdzie — matka?

Stara arystokracya wymiera. Albo rozwiązuje się dobrowolnie, miesza krew swoją z gminem giełdziarskim. Przeżyła się, wogóle wziąwszy. Jest to roślina, której korzenie uschły.

„Arystokracya pieniężna?“ No tak, tak; istnieje przecież podobna arystokracya; bogactwo wysubtelnione przez kilka pokoleń. Lecz w gruncie rzeczy talar jest plebejuszem, rośnie na równi w kieszeni lichwiarza jak w sakiewce gentlemana, a jako dyplom szlachectwa żadnej nie ma wartości. Co chwila inny jakiś warchoł wsuwa się w poczet arystokracyi pieniężnej i dlatego

Hentzi nie zasłużył sobie na dobrą pamięć u węgrów, albowiem nie ograniczył się na obronie poruczonej sobie twierdzy Budy, lecz zwrócił swe działa przeciw Pesztowi i zniszczył go zupełnie; lecz każdy zgadnie, że motyw ten chyba nie gra tu głównej roli i że z tem samem oburzeniem sprzeciwiliby się węgrzy, gdyby nie szło o Hentziego, lecz o któregokolwiek generała austryackiego. Sens ich postępowania jest więc niedwuznaczny, nie chcą oni symbolów przebaczenia i zgody, bo nie chcą ani przebaczyć, ani godzić się.

Takie jest znaczenie protestu węgierskiego w obecnym wypadku. Jest on tedy wysoce znamiennym dla stosunków wewnętrznych monarchii, a chociaż nie wystawia korzystnego świadectwa delikatności i taktowi węgrów, w każdym razie świadczy wymownie o ich dumie narodowej i poczuciu własnej siły.

S—l.

BADANIA NAUKOWE.

RUDOLF JHERING.

(1818—1892).

(Dokończenie).

Zatrzymamy się przedewszystkiem na jednym rysie Jheringa, który dopełnia jego naukowej charakterystyki. Z natury swej nie przypomina on zupełnie zwykłego, z biegiem czasu zasuszonego na podobieństwo pożółkłych foliałów „corpus juris“ — i tutaj bowiem działa prawo przystosowania się do otoczenia — profesora niemieckiego. Przypomnimy, że przed półwiekiem poeta Hebbel, wielki przyjaciel Jh., chciał go skierować na drogę literacką *). Los tymczasem zwrócił go ku badaniom naukowym i kazał pisać o prawie rzymskiem. Niekiedy jednak naturze udawało się przemódz kontrowersye komentatorów i dzięki tym „wczasom“ uczonego otrzymaliśmy spory tom szkiców po większej części satyrycznych i spostrzeżeń nad stanem nauki prawa w Niemczech.

Uchwycimy kilka tylko zjawisk. „Droga do profesury — mówi Jh. — w *Scherzu. Ernst in der Jurisprudenz*, prowadzi przez drukarnię. Jakiż prywat-docent niemiecki nie wypisze sobie aż do ran palców, walcząc o taką nagrodę! Jeżeli nie poszczęści mu się przy pierwszem dziele, w prędkim czasie otrzymamy drugie, trzecie—i tak długo bombardować będzie rozprawami, monografiami, podręcznikami zaparte wrota, aż się same otworzą. Fortecy nie sposób ostrzeliwać szrutem: na to trzeba ciężkich armat i kul działowych, a im grubsza książka, tem skutek pewniejszy. Stąd to przekleństwo, które ciąży na literaturze naszej, owo sztuczne wydęcie biednego, chudego pomysłu do rozmiaru całych tomów. Zdarza się nawet, że foliały nie zawierają nawet ani jednego takiego pomysłu. Tak oto staje młódź naszej literatury w zbrojnym szeregu gotowa do ataku; jeśli przed którym otworzą się wrota „obiecanego raju,“ wnet na jego miejsce wstępuje inny; kanonada trwa dalej — aż do dnia sądnego — jeżeli nie nadejdzie pomoc, do której odwołać się musimy. W Rzymie za Augusta istniało prawo, mocą którego ten tylko mógł korzystać z zapisu testamentowego, kto wykazał pewną ilość dzieci. Zdarzało się jednak, że Cezar z miłości ku pewnym jednostkom udzielał im prawa posiadania dzieci: taka fikcya wystarczała. W ten sposób i Diana z Efezu, jak wiadomo dziewica w cnocie swej niepokalana, mogła korzystać z zapisu testamentowego. Proponuję więc zastosowanie takich fikcyj i do twórczości literackiej naszych docentów.“ Ten jeden ustęp wystarcza dla uwypuklenia portretu Jh., jako satyryka.

Teraz odpowiemy na postawione uprzednio zapytania. W co wierzył Jhering, co ukochał? Jeżeli czytelnik przypomni sobie kilka naczelnych aforyzmów z „Walki o prawo“ — przytoczonych wyżej — to łatwo dostrzeże, do jakiej subtelności metafizycznej ucieka się on, ażeby wprowadzić do pojęcia prawa zasadę walki, która nie jest niczem więcej, niż ostatnią ucieczką prawa. Już Fouillée zauważył: „stąd, że jedna negacya może służyć do obalenia drugiej, wnioskuje Jh., że jest ona składnikiem każdego twierdzenia“; stąd, że procedura — nowoczesna forma dawnej walki — może służyć do przywrócenia porządku i prawa, wnioskuje, że proces jest składnikiem prawa. „Oto więc proces i kłótnia wyszrubowane do potęgi systemu, walka i wojna podniesione do wysokości teoryi.“

Dziwić się tylko wypada historykowi, że tak rozumuje. W oświetleniu historycznem widzimy przeciwnie, że z powstaniem „prawa“ kończy się „walka.“ Przypomnimy tylko niewolnictwo i zapasy religijne. Z tego więc stanowiska pogląd ów jest zupełnie bezpodstawny. Nie zdaje nam się również, ażeby Jh. chciał bronić ...pieniactwa. Boć poczucie własności tak głęboko zakorzenione jest w naturze ludzkiej, że naprawdę budzić go niema potrzeby. „Filistra prawnego“ widziały chyba tylko oczy profesora, uzbrojone w szkła poglądu apriorystycznego. I Pascal w jednej ze swych „Myśli“ powiada: „Sprawiedliwość bez siły jest bezsilną, siła bez sprawiedliwości tyrańską. Trzeba więc połączyć sprawiedliwość i siłę.“ Jhering zaś pisze: „Bogini sprawiedliwości w fantazyi starożytnych w jednej ręce niosła miecz, w drugiej wagę. Miecz bez wagi to naga siła, waga bez miecza to bezprawie.“ Możnaby posądzić o plagiat, tak bliźniaczo pokrewne są ich wyrzeczenia. Podobnie mówił w r. 1839 Blanc. W gruncie rzeczy z punktu widzenia filozoficznego Jh. sprowadził do absurdu zdrową myśl, jaką wniósł do filozofii prawa Kant. Mówimy o przymusie, jako charakterystycznej stronie prawa. Ale siła, przymus, który towarzyszy prawu, nie stanowi jeszcze prawa.

Z jakiejkolwiek więc strony rozważać będziemy pogląd Jh., napotykamy wszędzie albo niedorzeczność, albo „stare wino w nowym miechu.“ Zobaczymy jednak niebawem, co w rzeczy samej kryło się poza uszeregowanymi aforyzmami nauki niemieckiej. Wykład „Walka o prawo“ wygłoszony został w r. 1871. Przed chwilą właśnie skończyły się tryumfy oręża prusko-niemieckiego; przed chwilą zdeptano kulturę Francyi; niedawno nie kto inny, jeno D. F. Strauss odważył się bronić najazdu niemieckiego w polemice z Renanem; niedawno Bertold

*) Wtedy to, opowiada Jh., dla zapewnienia sobie utrzymania, starał się o posadę w sądzie. Nie otrzymał jej jednak ze względu na pochodzenie nie dość (?) szlachetne.

---

arystokracya ta otrzyma na zawsze piętno mieszaniny — t. j. piętno niearystokratyczne.

Wojsko! Ach! Wojna nie jest już ani czynem, ani snem, jest to przystosowywana matematyka, zajęcie nieosobiste, prowadzone przez techników. Moltke — to Napoleon naszych dni; umrze jako sumienny szef biura i poseł do sejmu. Dziś istnieje jedna tylko cnota żołnierska, karność; stać, gdzie postawią, pójść, dokąd poślą; tą metodą wychowuje się dobrych służalców, lecz nie panów. Oficer — to wcale nie bohater, a kapitan, major, generał—to wszystko urzędnicy.

Mężowie nauki? — o zakleksanych palcach, zakatarzonych nosach i mikroskopijnie drobiazgowej ambicyi wynalazczej? Z uczonego w najlepszym razie powstanie profesor, jego zaś syn będzie jakimś tam nicponiem, którego ojciec za pomocą swoich znajomości z biedą wpakuje na urząd; nic nie warto.

Autorowie, artyści itp. — to po prostu proletaryat. Poeta np. bywał i jest zawsze mężczyzną *prostitué.* Dawniej sprzedawał swoje uczucia pierwszemu lepszemu feodałowi, który płacił; dzisiaj oddaje się prostytucyi za cenę rozgłosu. Robi interesy na życiu własnego serca, fabrykuje słodkie uczucia, byle tylko doczekać się trzech wydań; wykreśla najlepsze, najszczersze swoje myśli, byle tylko znaleźć nakładcę.... Z takiej kasty niewolników nie zrodzi się arystokracya.

Chłopi? — chyba oni jedni jeszcze. Królewska to rzecz być posiadaczem gruntu, dzierżyć samowładzę nad najmniejszym bodaj szmatem planety; stare rody gospodarzy tutejszych mają może jeszcze coś arystokratycznego w sobie. Jednak... ziemia jest przedmiotem handlu. Nie jest to już własność chłopa; jest to conto w księdze lichwiarza. Chłop z błyskawiczną szybkością zmienia się na proletaryusza. A ludzie przyszłości marzą o tem, aby uczynić z ziemi „własność ogólną,“ co zniszczyłoby podstawę jedynej arystokracyi, którą sobie przedstawić jeszcze można.

Ale „młodzież“?... czyż młodzież ta nie jest gromadą niedowarzonych jeszcze oficerów, urzędników, artystów i chłopów-proletaryuszów...

„Przyszłość“ jest strasznym obrazem. Fabryki i dobrze postawieni robotnicy.

Świat, napełniony oświeconemi, dobrze odżywionemi duszami drobnomieszczan, którzy jedzą, piją i rozradzają się naukowo.

Nie chcę współdziałać. Poprostu — nie chcę.

XXXV.

Fin de siècle, fin de siècle. Fin de la culture européenne.

Proletaryat o brudnych pięściach burzy kolumnę Vendôme, pali Notre Dame, wpada do Luvre'u i szybkiemi uderzeniami młota przemienia Wenerę milońską na kupę rozbitego kamienia. St. Madeleine przeistacza się w lokal balowy dla robotników, Tuillerie — na garkuchnię publiczną. Brama tryumfalna zostaje zburzona, na jej miejscu powstaje modny, wspaniały, wszechświatowy „cabinet d'aisance,“ na którym widnieje wielki napis: „Liberté, égalité, fraternité, entrée 5 centimes.“

A na wszystkich rogach ulic pracuje gilotyna niby stępa. Bo umrzeć muszą wszyscy, których dłonie są białe, a nosy zbyt delikatne dla zapachu nafty, śmierdziuchy i potu.

...Każę się zgilotynować.

* * *

Astronomowie opowiadają nam, że ziemia z całą swoją drużyną planet i trabantów szybuje w przestrzeni niebios z szybkością milionów mil na sekundę — wprost naprzeciw tej lub innej gwiazdy w znaku Herkulesa.

Pewnego pięknego dnia ziemia nasza gruchnie na tę gwiazdę i wyparuje jak kropla na gorącym piecu.

Po co była? Bóg, licząc pewnego poranku, w następnej wieczności, hordy swoich gwiazd, nie zauważy nawet, że planeta Tellus zniknęła.

Ach, Panie, jak długo!..

Kiedyż zwyciężę ten wieczny niepokój, to gorące niezadowolenie, brak, tę suszę i to pragnienie całej mojej istoty! Jestem niby zwierz w pustyni, w której niema wody, niby lew zamknięty w klatce a szukający wolności. Wszystko, co jest niepokojem i pragnieniem, oczekiwaniem, tęsknotą, niezgodą — wszystko to spoczęło we

Auerbach, również „kochająca dusza,“ pisał „natchnione“ listy z obozu do *Allg. Zeit.*, Zeller — filozof bronił publicznie zaboru Alzacyi a Du Bois Reymond publicznie oświadczył, że wstydzi się swego pochodzenia i nazwiska. Wtedy właśnie na sposób Omara spalono bibliotekę w Strasburgu. Wtedy na zaproszenie Akademii irlandzkiej w sprawie uratowania od zagłady zbiorów nauki i sztuki w Paryżu uniwersytet w Getyndze — proszę zauważyć ojczyzna Jheringa — odpowiedział, że zamiast przeszkadzać bombardowaniu należałoby je przyśpieszyć *). Tak potrafi nauka być niekiedy cyniczną i głupią. Wtedy, kiedy pozytywiści francuscy i angielscy w natchnionych odezwach powoływali się na najświętsze uczucia ludzkości, nauka niemiecka umiała tylko bronić najdzikszych i najwstrętniejszych instynktów — nie ludzkich nawet.

Podmalujmy jeszcze tło. Był to właśnie czas, kiedy niedawno zrodzony narodowy przemysł niemiecki, wsparty na miliardach francuskich, święcił pierwsze swe „patryotyczne tryumfy“ i jak zwykle głosił indywidualizm ekonomiczny, i jak wszędzie w interesie swych „ideałów“ zaczął wyzyskiwać biologiczną zasadę „walki o byt,“ niedawno przeszczepioną na urodzajną i pod tym względem glebę niemiecką. Bismark zaś ważył się rzucić z mównicy parlamentarnej sławne swe piekielne słowa: siła to prawo.

W takiej oto atmosferze powstała „Walka o prawo.“ Jhering nie potrafił wznieść się ponad dążenie czasu, nie szedł, jako biblijny słup ognisty przed tłumem, ale postępował wraz z falą, która go unosiła i na której czuł się dobrze. Zrywając z wszelką tradycyą, o czem wzmiankowaliśmy wyżej,

*) Czytelnik wybaczy to nagromadzenie barw i faktów. Warto jednak dla wielu względów zauważyć tę datę i te nazwiska. Por. Renan, *La réforme int. et mor* 1872, gdzie przedrukowane są dwa listy do Straussa. Auerbach w „Korespondencyi“ wydanej przez Spielhagena t. II. Zeller, *Vortr. u. Abhandl.* t. II s. 399 i n., 463 i n. Odezwa Akad. Irl. wraz z odpowiedzią Prof. Dove'go przedrukowana w *Rev. de dr. inten.* 1870, s. 302–3. Du Bois Reymond w *Reden u. Aufsätze* II. — Co do odezw pozytywistów (Dr. Robinet i Dr. Semeire we Francyi, Harrison i prof. Beesly w Anglii). Por. Gruber, *Der positiv.* s. 72 i 88.

zerwał z idealizmem niemieckim nietylko filozoficznym, ale politycznym i społecznym. Zapomniał o „obowiązku“ Kanta, zapomniał o natchnionych wykładach Fichtego (*Grundzüge unseres Jahrhunderts* z r. 1804), gdzie nawoływano do miłości i deptano egoizm. Widać, że „dobre stare czasy,“ do których tęsknił Du Boois Reymond „do pieśni Von der Schwalbe,“ do snów bez końca, do ideału — minęły już bezpowrotnie. Nauka poszła do służby *).

Jhering był przedewszystkiem prusakiem. Pochodzenie to na umyśle uczonego i na istocie jego moralnej wyciska piętno, którego zmyć nie potrafi nic — żadna kultura, żadna ewangelia. Od autora *Rembrandt als Erzieher* zapożyczymy kilku ilustracyi. W języku niemieckim pojęcie pokoju przywołuje na pamięć obronę, wojnę. Jest w tem coś rasowego. „Kocham wojnę — mówił przed stu laty filozof Hamann — boską rodzicielką pokoju.“ Na monetach Cromwella czytamy: *pax quaeritur bello.* „Eine feste Burg“ poetyzował Luter, a przed nim malował ją czarującemi barwy Walter von Eschenbach. Wagner odtworzył ją w Parsifalu. Od barda starych germanów, poprzez pieśni miłosne (Minne) średniowiecznych rycerzy, aż do hymnów Lutra i „Wacht am Rhein“ snuje się jedna nieprzerwana nuta surmy wojennej. I ideały chrześciaństwa w pojęciach tej rasy nabierają obcych mu form: jej patron, Michał, figuruje zawsze z ognistym mieczem w dłoni. Nietylko szowinista niemiecki, który chełpi się takiem świadectwem ubóstwa“ — ale i obcy na te same rysy zwracają uwagę. „W Niemczech — mówi pani de Staël — filozofia służy celom nader poziomym. Używają oni rozumowania filozoficznego dla wytłomaczenia tego, co jest najmniej filozoficzne w świecie: poszanowania siły...“ (*De l'Allemagne* s. 465 in). To właśnie czuć w rozumowaniu Jheringa.

Leży przed nami portret profesora. W obliczu starca, typowem zresztą obliczu zgrzybiałego niemieckiego profesora zauważyć można kilka linij ostrych, silnych. Powie może kto, że to widoczne ślady sarkazmu, wielkiej siły, jaką pokazaliśmy wyżej czytelnikowi, my pozwalamy sobie widzieć w nich tylko fizyczny odpowiednik do

*) W wykładzie *Culturgeschichte u. Naturwiss.*, 1877.

wskazanych już rysów w moralnej fizyognomii Jheringa *). Chcąc rysy tego portretu zachować na dłużej, zamykam na chwilę oczy. Widzę go wyraźnie przed sobą; tylko nad głową spostrzegam coś nieistniejącego w rzeczywistości fotograficznej. Zarysowuje się pewna linia krzywa, jasna, świecąca. Nie aureola to jednak świetlana, jeno kontury zwykłej błyszczącej, pruskiej pikelhauby. To chochlik chyba złośliwy. Zatrząsłem się wstrętem i otworzyłem oczy. Te jednak padły na otwartą okładkę książki i wyczytały na niej sakramentalne wyrazy pod nazwiskiem autora: *Geheimer preussischer Justizrath* i następnie skromne słowa: *und Professor.* Nauka korzy się przed siłą brutalną, pruską. A więc być może nie był to tylko chochlik złośliwy a płochy.

Obecnie może czytelnik przypomni sobie przytoczoną na wstępie „rzecz o lampce i ołtarzu“ i sam określi, jakiej barwy było światło serdeczne uczonego prawnika **).

S. Posner.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Rozpanoszenie się w Niemczech literatury skandynawskiej. — Stare i młode pokolenie pisarzy. — Zmysł społeczny pierwszych i daltonizm społeczny drugich. — Obrazy jaźni samoanalizującej się. — Hansson z epopeją Adamów i Ew. — Źródło przełomu.

Wydać się może dziwnem, że pisząc z Niemiec, mówię jedynie o piśmiennictwie skandynawskiem. Są jednak po temu przy-

*) „Wszystko, co zachodzi w duszy Cezara znajduje swe odbicie w ciele jego“ — mówi Leibnitz (Monadologia 25).

**) Z obowiązku winniśmy zaznaczyć, że nie napotkaliśmy danych co do poglądów Jh. na r. 1848, na „Kulturkampf,“ na „Ausrotten.“ W niektórych kwestyach, np. w sprawie antysemityzmu, zapatrywania Jh. były nawskroś szlachetne. Stroniąc od życia politycznego, nie należąc otwarcie do żadnej partyi politycznej i społecznej, mógł pozwolić sobie na różne niekonsekwencye. W świecie uczonych zjawisko to dość często zauważyć się daje.

---

mnie męczarnią, leży w piersi mojej bólem, który pożera.

Wychodząc, mam nadzieję, że znajdę spokój w postaci młodej, pełnej kobiety, która zarzuci mi białe ramiona na szyję i szeptem wypowie słowa nieskończonego zrozumienia — słowa miłości. Wracając do domu, mam nadzieję, że ją znajdę siedzącą u mnie w pokoju, że oczekuje mnie, cicha i piękna, z magnetyczną rzewnością w ciemnych źrenicach.

Siadam na najwygodniejszem krześle, a jednak nie mogę spoczywać; kładę się na najmiększy dywan, a jednak nie znajduję spokoju. Wciąż nadsłuchuję, nadsłuchuję; wszystkie nerwy — w naprężeniu, zmysły natężone do stopnia halucynacyi — czyż nie słyszę znajomych kroków? Któż tam nadchodzi? Czy to nie błogie moje objawienie?

Lecz nadchodzi jedynie — wezwanie do zapłaty.

XXXVI.

Więc zaczyna się?

Nie mogę twierdzić, iżbym widział muszki. Lecz te dziwne, kulawe, niedorzeczne pomysły, które mnie dręczą... narzucają mi się jako idee inteligentne, tak idyotycznie i krzykliwie... a co najgorsza, że czasem wydaje mi się istotnie, jakoby myśli te były dobre...

Olsen nie ma szczęścia; Ohlzénem co najmniej zwać się trzeba, a i wtedy byłoby to szczęście dziesięcio-ocrowe...? Czy myśl podobna powstać *może* w mózgu, który funkcyonuje normalnie?

Muszę na siebie uważać. I nie zbyt dużo absyntu...

Buddyzm — nie dla nas. Aż po uszy zagłębiłem się w wierze barbarzyńskiej. To o abnegacyi jest mi zanadto negatywne, istota moja łaknie zadowolenia, szczęścia, miłości; barbarzyńca nie umie rezygnować; wciąż zdaje mu się, że życie *nie może* być tak zimne; gdzieś, gdzieś musi ukrywać się jakiś Bóg-ojciec.

Scena: Mój pokój. Osoby: Dr. Kwaale, G. Gram. — Zmierzch.

Gram (wchodzi z dr. Kwaalem). Ładnie to z pańskiej strony; zapalmy sobie cygara i pogadajmy rozumnie; już dawno, dawno z sobą nie mówiliśmy.

Dr. Kwaale (rzuca się w kołysankę — wycieńczony). Nigdy nie mam przecież czasu. I teraz mam (spogląda na zegarek) tylko 40 minut wolnych. Potem znowu spieszyć muszę do mego samobójcy.

Gram (przynosi cygara). Do samobójcy? E? To pięknie brzmi. (Zapala cygaro). Więc próba nieudana?

Dr. Kwaale (wzrusza ramionami). Rozumie się. Przeklęci partacze; nigdy nic porządnie nie zrobią. (Zapala cygaro).

Gram (siada). I pan masz serce „ratować“ takiego faceta?

Dr. Kwaale (wzrusza ramionami). Obowiązek, u kata.

Gram. Obowiązek bardzo niemoralny.

Dr. Kwaale. Tja!

Gram. Czy to człowiek młody?

Dr. Kwaale. Żółtodziób, naturalnie... nie znał anatomii; usadowił sobie kulę tam, gdzie nic porządnego zrobić nie mogła.

Gram. Więc rewolwer! Niesmaczna broń! Huk i rozgłos. Nieprawda, że i pan wolisz opium?

Dr. Kwaale. Tak.

Gram. Utonąć w kąpieli — to też niegłupie. Tylko, że jest ryzyko zostania wyratowanym.

Dr. Kwaale. Tak. Ludzie są tacy miłosierni... kiedy nie trzeba.

Pauza.

Gram (z udaną wyższością). Cóżbyś pan naprzykład uczynił, gdyby pewnego dnia przyszedł do pana dobry przyjaciel i poprosił... o dostateczne quantum morfiny?

Dr. Kwaale. No, mógłby się przecież uskarżać na bóle tu, tam.

Gram. Nerwobóle... sprawiające bezsenność, naprzykład...

Dr. Kwaale. Tak. Bo przeciw ogólnej bezsenności używamy teraz innych środków.

Gram (ze sztucznym uśmiechem). Pan wzdragasz i wykręcasz się nawet przed dawaniem mi chloralu.

Dr. Kwaale. Chloral — to prawdziwe świństwo. Czy wciąż jeszcze dokucza panu bezsenność?

Gram. Czasem... kiedy pojawiają się te nerwobóle. W rękach i nogach, wie pan... i w głowie... leżę i przewracam i rzucam się, jak w gorączce; ani myśleć mogę o spoczynku.

czyny poważne. Twórczość artystyczna niemiecka, o ile znalazła swój wyraz w słowie pisanem, sączy się dzisiaj wązkiem a płytkiem łożyskiem, rozlewając się tu i owdzie jedynie w bagniska gnijące. Wodę świeżą sprowadza się skądinąd, głównie zaś ze Skandynawii. Każdy utwór, który ukazuje się na półwyspie, znajduje natychmiast tłomacza niemieckiego, a prace niektórych autorów drukują się jednocześnie w ojczyźnie i w Niemczech. Nie wiele już brak, ażeby ten i ów pisarz skandynawski zupełnie przerzucił się na niwę niemiecką. Przynajmniej na coś podobnego zanosi się dzisiaj ze Strindbergiem. Jego realizm, silnie przesiąknięty pierwiastkami myśli radykalnej i zarazem owiany jakimś pesymizmem, wywołał wśród rodaków powszechne oburzenie. Czytający filistrzy, a następnie przedsiębiorcy-wydawcy zaczęli go „boykotować," a odbierając zarobek z pióra, zmusili do opuszczenia ojczyzny. Osiadł on przed kilku dniami w pobliżu Berlina, w schronieniu „niezależnych indywidualistów," jak w świecie literackim i politycznym nazywają Friedrichshagen, wziął się do studyów systematycznych nad językiem niemieckim, ażeby wystąpić na tutejszej arenie...

Otóż przerzucając najświeższe utwory pisarzów skandynawskich, niepodobna nie dostrzedz silnej różnicy pomiędzy pokoleniem starszem (Ibsen lub Björnson) a młodszem, z którem *Prawda* kilkoma przekładami poznajomiła naszą publiczność w ostatnich czasach. Pierwsi są malarzami mniej lub więcej rozległych zatargów życiowych. Zwykle bohater występuje z pewnemi przekonaniami lub dążnościami uczuciowemi, a życie wypowiada mu o nie walkę. Jeżeli zaś jako wyrzutek zostaje wyłączony ze swego społeczeństwa (np. w *Wrogu ludu* Ibsena), nawet wtedy nie ucieka do pustelni i nie zagłębia się jedynie w swojem „ja," nie przestaje być istotą gromadzką, o własnej tylko sile i w odosobnieniu podnosi rękę przeciwko wyzyskowi, głupocie lub instynktom ślepej trzody. Albo też dramat życiowy toczy się bez takiego bohatera idei, a cały zatarg pozostawia w umyśle czytelnika dziwne wrażenie. Weźmy *Dziką kaczkę*. Występuje tu człowiek osobliwy. Jest to obłąkaniec na punkcie mówienia prawdy i wykazywania fałszów. Naturalnie, owo umiłowanie prawdy jest cnotą wielką, którą posiada bardzo niewielu filistrów, atoli cnota ta, trwoniona bez zastanowienia, nie w swoim czasie i nie na swojem miejscu, staje się niekiedy istotnem okrucieństwem. Są ludzie, którzy łudzą się jakąś wiarą, a całe ich życie jest ozłocone jedynie tą nadzieją i ufnością, które nikomu nie szkodzą i nikomu nie mącą wody. Zjawia się wszakże taki obłąkaniec prawdy; nie znosi on tego, iż ktoś mniema, że kaczka zwykła nie jest zwykłem, lecz dzikiem stworzeniem, bezlitośnie zdziera tę ślepotę z oczów, nie dbając o to, że komuś dał swoją prawdomównością tylko jedno — przeraźliwą pustkę życia... Wszędzie w tych dramatach, kreślonych przez starsze pokolenie pisarzów skandynawskich, tętni życie gromadzkie, a człowiek występuje jako istota złożona, posiadająca instynkty rozmaite, rzucona w wir podobnych sobie istot dwunożnych, jedynie z odmiennemi pragnieniami. Gwarno tutaj i hałaśliwie. A po za wątkiem zapasów życiowych czuć olbrzymią indywidualność pisarza, potężną swoimi zdolnościami ogarniania szerokich tłumów, wprawiania w ruch rozmaitych sprężyn uczuciowych i pojęciowych, kreślenia zagadnień i starć pomiędzy licznemi osobistościami.

Zgoła coś odmiennego przedstawia nam młode pokolenie. Wszystko tutaj wygląda inaczej, nawet forma, w jaką autor myśl swoją układa — przeważnie pamiętnikowa. Zamiast życia, ze starć wysnuwającego wątek przedmiotowy, występuje przedewszystkiem jedostka, spowiadająca się ze stanów swojego „ja," fizycznego i duchowego. Dość tu przypomnieć znany czytelnikom *Prawdy* „Głód" Hamsuna. Społeczeństwo ze swoimi stosunkami znikło i zostaje jedynie cierpiąca głód jednostka. Reszta postaci to tylko przydatki do owego „ja," świadkowie męczarni, dekoracye teatralne. Rozbiór zdarzeń jest przetłomaczonym na żywy język powieściowy rozdziałem fizyologii z wyłączeniem pierwiastków społecznych. Hamsun wszakże nadaje ruch jeszcze licznym osobom, potrąca o wiele namiętności, chociaż wszystko jest zabarwione tem samem światłem — cierpień głodowych. Inni przedstawiciele młodszego pokolenia posuwają się jeszcze dalej po tej drodze. Forum życiowe, pełne różnobarwnych namiętności i ruchliwych postaci, coraz bardziej zamienia się na pustelnię, w której siedzi tylko jedna istota i grzebie w swojem „ja," a w braku własnej spowiedzi daje analizę duchowości jakiegoś innego „ja," które równie zastaje sztucznie wydzielone od reszty świata, pojęte nie jako kółko w olbrzymim mechanizmie duchowym życia społecznego, ale jako niezależny atom, jako jestestwo fizyologiczne, noszące na tle dziedzictwa po przodkach pewien dorobek osobisty. Idea walki zamiera w uczuciu takiego lub innego braku fizyologicznego, czyn — w samoanalizie, znajomość zaś życia zastąpiona oczytaniem się autora w monografiach psychiatrycznych i wiązką spostrzeżeń nad kilku osobami. Utwór staje się tkaniną powieściową wypadków psychiatrycznych, podawanych przez Kraffta Ebbinga lub kogoś innego. Że autor sam jest nadto istotą wielce wrażliwą, umiejącą odczuwać piękno przyrody i ludzkie, zdolną odczuć w swojem „ja" cierpienia cudze — wszystko to nie zmienia rzeczy. Niekiedy życie zostaje tak uproszczone, że chyba trudno zredukować je bardziej. Takie zubożenie instynktów społecznych w literaturze skandynawskiej przedstawia szczególnie młody pisarz, Ola Hansson. Zdaje się, iż jest to nazwisko zgoła obce naszej publiczności, chociaż używa dzisiaj wielkiego rozgłosu w pewnych kołach niemieckich. Wydał on dotychczas kilka zbiorków nowel; jeden, poświęcony analizie zadziergających się lub pękających węzłów pomiędzy mężczyzną a kobietą; inny — psychicznofizyologicznemu życiu tych kobiet, które nie znalazły możliwości normalnego zaspokojenia swych potrzeb; trzeci — owemu nieświadomemu podkładowi, który wytwarza „zbrodniarzy urodzonych" Lombrosa. Twórczość Hanssona jest tego rodzaju, że każdą nowelkę należy czytać po innej w przerwie kilkotygodniowej, chociaż większość zajmuje niekiedy tylko parę stronic. Kiedy po raz pierwszy wzięliśmy je do ręki, przeczytaliśmy z zajęciem istotnem pierwszą, następna już nas znużyła, przy trzeciej odrzuciliśmy książkę, do której powróciliśmy dopiero po tygodniu, żeby znowu odebrać podobny szereg wrażeń. Społeczeństwo, tj. życie gromadzkie z jego starciem namiętności, zostało tutaj sprowadzone do opisu pewnych stanów wewnę-

---

Dr. Kwaale (ze spiesznym, badawczym rzutem oka). Hm.

Gram (z udaną wesołością). Bądź spokojny, doktorze. Jestem facetem dawnej daty; mam zamiar umrzeć w sposób przepisany — na zapalenie płuc.

Dr. Kwaale. Prawdę powiedziawszy i — najprawdopodobniej — jest to sposób najwygodniejszy.

Gram. W każdym razie jest to sposób *correct*. A przy śmierci i małżeństwie, przy tem wszystkiem należy być correct.

Dr. Kwaale. Hja. A zresztą i ze stanowiska naukowego. Należy przypuszczać, że natura jednak najlepiej pracy tej dokona.

Gram. Tak?

Dr. Kwaale. Ona... spełnia niektóre prace wstępne, a mianowicie, podkopuje do pewnego stopnia siłę odporną, czyni ciało, że tak powiem, więcej usposobionem do śmierci, nastraja je do śmierci, tak, że już później *mors* stosunkowo łatwą ma robotę. Natomiast gwałtowny środek, wprowadzony do ciała z zewnątrz bez żadnego uprzedniego przygotowania... taki środek ma do czynienia z ciałem nieprzygotowanem, odpornem, więc musi działać brutalnie, użyć przemocy, dusić i łamać konwulsyjnie, z siłą szatańską, tak, że w tym razie według wszelkiego prawdopodobieństwa *mors* nader niewygodną staje się historyą.

Gram (z udaną obojętnością). No, ale jeżeli doza jest dosyć wielką.

Dr. Kwaale. No tak!

Gram. W każdym razie... dobrze, nie myślcie o podobnych rzeczach... I ja miewałem czasy, prawda, i ja je miewałem. Lecz — poczęści za mało posiadam energii, poczęści zaś mam... niechęć do skandalu i dlatego niewątpliwie zamierzam umrzeć w sposób chrześciański; cieszy mnie tedy, gdy słyszę, że wedle przypuszczenia ten ostatni sposób jest i — najwygodniejszym.

(Pauza. Dr. Kwaale spogląda na swój zegarek).

Gram (śpiesznie). Ale, jak rzekłem, bezsenność wzmogła się nadmiernie. — Wogóle wziąwszy, człowiek inteligentny powinienby posiadać w swojej apteczce zawsze flaszeczkę morfiny; świadomość, iż się jest zbrojnym przeciw wszystkiemu, daje niejaką wiarę, niejaką pewność siebie... Kiedy nocą leżę w męczarniach, nie mam przecież ochoty pójść dla tego do doktora—o tej porze; lecz mogą powstać bóle, które sprawią, że człowiekowi odechce się nadobre czekać ranka... Poprostu niech ząb zaboli, a już człowiek leży...

Dr. Kwaale. Tak. Znam to. Zresztą, nie tak prędko człowiek się zabija, gdy ma odpowiedni środek pod ręką; wie, że zawsze jeszcze uczynić to może; poczeka godzinkę, jeszcze jedną, i tak czeka dalej. A tymczasem napad przemija.

Gram. No... w takim razie przyjdę może do pana któregoś dnia...

Dr. Kwaale. Dobrze. Jesteś pan przecież człowiekiem inteligentnym. Wiesz, jak należy się obchodzić z flaszeczką morfiny. (Wstaje, jak gdyby w celu odejścia i znowu siada). Zresztą mogę ją panu dać teraz, zaraz. (Wyjmuje notesik i pisze receptę).

Gram. Dziękuję, doktorze.

Dr. Kwaale. Proszę bardzo! (Podnosi się, wciąga rękawiczki). A gdyby dyabeł pana kusił, pamiętaj o tem, com ci mówił. No, a teraz muszę śpieszyć do mego partacza...

Gram (chowając receptę). Czy to... dosyć?

Dr. Kwaale (bierze kapelusz i laskę). Dosyć dla konia. Do widzenia.

Gram chwyta jego dłoń i milcząc ściska ją.

* * *

I oto siedzę z małą flaszeczką w ręce.
A teraz — czekać chwili szału...

XXXVII.

Święty sakrament ołtarza. Cóż w tem wyrażeniu działa na mnie czarem? Krew boża w złocistym kielichu skrzy przed mojemi oczami niby deszcz rubinowy w słonecznej fali.

Ta głęboka, gorąca krew purpurowa, to bijące źródło wiecznej siły życiowej. Chciałbym zanurzyć duszę moją w tę ciemną głębię i wyjąć ją, czystą, świeżą, młodą — boginię, co z piany morskiej się rodzi.

— Idę do Löchena. Zdam mu sprawę ze wszystkiego i otrzymam wielką absolucyę. I s pożyję... święty sakrament ołtarza.

(D. c. n.)

trznych jednostki. Plato opowiada, że kiedyś na globie naszym istniały czworonożne istoty ludzkie, dwupłciowe, z których każda we wszystkiem wystarczała sobie. Ale Zeus wszechwładny rozciął je mieczem na dwie, męzką i żeńską, które odtąd pędzą życie samodzielne, ale jako połowy dawnej całości poszukują się wzajemnie. Otóż w *Amorosa sensitiva* Hansson kreśli, jak owe połowy szukają się, ażeby znowu stanowić jedną całość, lub znalazłszy się, poznają, że nie należą do tej samej. Są to dzieje jednostki zbiorowej, Adama i Ewy. Każda połowa posiada tkwiącą bezwiednie w jej organizmie sumę wymagań względem swego uzupełnienia. Kobieta dla mężczyzny, mężczyzna dla kobiety są tylkoześrodkowaniem i ucieleśnieniem różnych wrażeń wzroku, słuchu, powonienia, dotyku, które jako rozproszone pragnienia istniały w połowie poszukującej. Syntezy świadomej tych pierwiastków organizm nie jest zdolny dokonać i szuka jej w życiu. Jeżeli spotka istotę, w swojem jestestwie łączącą te nieświadome pragnienia, wybucha miłością ku temu uzmysłowieniu i zjednoczeniu pożądań swojego „ja.“ Atoli niekiedy dość, ażeby ukazał się w znalezionej osobie jakiś rys chwilowy, a jedna połowa spostrzega, że wybrana synteza nie odpowiada rozstrzelonym pierwiastkom jej „ja.“ Poszukiwania te, w których świadomość odgrywa bardzo małą rolę, a pierwiastki nieświadome zabierają głos najdonioślejszy, autor kreśli, jak rzekliśmy, w *Amorosa sensitiva.* Węższe już zadanie podnosi w „przyczynku do fizyologii miłości teoretycznej,“ w „Kobietach codziennych.“ Występuje tu tylko żeńska połowa organizmu platońskiego, jakaś tylko Ewa, której nie udało się znaleźć swego Adama, lub dla której wszelki Adam jest zbyteczny, jeśli przybiera postać człowieka normalnego z normalnemi pragnieniami ciała. Z pośród ogółu pierwiastków „ja“ takiej nieuzupełnionej połowy, dla których objawieniem syntezy winien stać się ten lub ów mężczyzna, wybija się nadmiernie tylko jeden — mocno erotyczny, a Ewa taka gotowa jest przyjąć każde ciało męzkie za owo objawienie... Wreszcie w „Historyach fatalistycznych,“ zebranych w zbiorku *Paryas*, nieświadome warstwy naszego „ja“ występują w rozmaitych czynach zbrodniczych. Oto jest koło poruszeń talentu Hanssona. Adam i Ewa we wzajemnej analizie lub w wzajemnem ciążeniu, Ewa samotna z latarką w ręku i gorączką we krwi, albo spokojna, albo z niedorozwojem swoich pragnień, albo z obecnością niektórych Adamowych, wreszcie różne „ja“ mordercze, prostytujące się, wogóle wyklęte, paryasowskie... Lecz każdy z tych organizmów platońskich w chwili szukania i rozczarowywania się jego połów, każda z tych jaźni samobójczych i kainowych, każda z tych Ew jęczących występuje w odosobnieniu — po za jej życiem wewnętrznych łaknień nie widzimy nic więcej w utworze. Ze społeczeństwa wydzielono tylko jedną lub dwie osoby, jako akcesoryum tych lub innych stanów fizyologicznych bohatera. Jeżeli gdziekolwiek Hansson wyprowadzi gromadę, nie jest to zbiór istot społecznych, ale chór opętany, sabbatowy. „I wszystkim tym kobietom teraźniejszości — spowiada się w końcu przyczynku do tegoczesnej miłości autor z pewnej swojej halucynacyi — takim, jakiemi są, nakazałem odprawiać twój sabbat tam, po tamtej stronie jeziora, na najwyższym grzbiecie górskim, na którym śnieg wieczny białością swoją strzelał ku niebu, a one wszystkie obracały się w korowodzie obnażone — zagadki i sfinksy, tajemnice i potwory, i wszędzie uderzały kluczem tajemniczym o odpasaną zarzutkę Wenery.“ Halucynacya ta zdradza w najwyższym stopniu brak zmysłu społecznego. Autorowi na myśl nie przychodzi, że te nieszczęśliwe tajemnice i sfinksy, zagadki i potwory bynajmniej nie stanowią wiedźm na odludnej górze, lecz zawodzą płaczem tłumionym, rzucają się w opętaniu erotycznem lub przekształcają się na czarownice Wenery dziewiczej w gwarnym potoku życia; że miejsce ich sabbatu nie góra samotna, ale społeczeństwo, w którem lubo wyglądają niby atomy, są jednak z sobą i z innemi związane tysiąckrotnie. Te obrazy atomów społecznych zostały przez autora oprawione w ramy cudownych opisów przyrody, gdzie każdy szczegół występuje żywo, wyraźnie, jaskrawo, niekiedy żywiej, niż sama istota ludzka, która tu i owdzie jest manekinem, a raczej rozszerzonym ustępem z dzieła Krafft-Ebbinga. Dziwne wogóle na mnie uczynił wrażenie Hansson-człowiek, który nie miał czasu skąpać się w szerokim potoku życia, a wiedzę swoją pod tym względem czerpał raczej z monografij psychiatrycznych, niż ze spostrzeżeń własnych. Przeczuł on ten zarzut i we wstępie do swoich „Historyj fatalistycznych“ uniewinnia się, twierdząc, że nie czytał Lombrosa. Nie mamy powodu nie wierzyć, chociaż możemy dodać, że kiedy dzisiaj Bourget i Maupassant w utworach artystycznych, a publicystyka w inny sposób spopularyzowała ideę o wrodzonem zbrodnictwie, znajomość ta nie była potrzebną. U Dostojewskiego w każdej powieści napotkamy niemal wszystkie postacie Hanssona, a kiedy tamten jest dzisiaj źródłem, z którego Lombroso czerpie materyał, o norwegczyku każdy powie, może niesłusznie, że tłomaczy uczonego włoskiego na język powieściowy. Jak dotychczas, nie jest to talent, ale duży talencik, z ogromnem poczuciem przyrody, z olbrzymią samoanalizującą jaźnią, dzięki której niekiedy zatraca indywidualność swoich bohaterów, analizując jedynie stany wewnętrzne bez spójni ich z podścieliskiem społecznem. Od tego, czy te różne „ja“ analizujące uda mu się zamienić na fizyologiczne odbicia życia gromadzkiego, stworzyć dramat masowy Adamów i Ew, poruszających się w gwarnem życiu pośród ludzi innych pragnień i potrzeb — od tego zależą losy autora. Jeżeli mu się nie uda, pozostanie talencikiem, który z rokiem każdym będzie spadał...

Atoli ta różnica pomiędzy pokoleniem starem a młodem, ów zmysł społeczny Björnsonów, a grzebanie się w swojej jaźni lub innej odosobnionej u Hamsunów i Hanssonów nie może być dziełem przypadku. Tutaj winny działać przyczyny trwałe, społeczne. Ażeby poznać pisarzy skandynawskich, należy wraz z nimi udać się do ich kraju. Otóż pokolenie stare jest dzieckiem tych czasów, kiedy mieszczaństwo i zamożniejsze drobnomieszczaństwo walczyły na półwyspie o swoją dzisiejszą synekurę społeczną i gorzały jeszcze różnemi ideami. Z pośród tych warstw wyszli ci autorzy. Znają oni świat i życie. Z czasem ten i ów rzuca wyzwanie i staje się odludkiem, ale i nadal maluje gromadę różnobarwną, do której siebie wprowadza jako ducha niespokojnego i żądnego walki. Tymczasem rozwój podąża dalej. Zpośród warstw niższych wydobywają się ludzie, których otoczenie od kolebki było skąpe w zdarzenia, lub którzy z wyższych zostali wyrzuceni, zanim poznali życie. Ukazują się wykolejeni na wielką skalę, *desclasés*, że użyjemy nieswojskiego wyrażenia. Głodzący się proletaryusz umysłowy, młody pustelnik w samotności analizujący siebie — oto materyał nowego pokolenia. Otoczenie młodych głów, którym czaszkę rozsadza nawał idej — to są jedyni znajomi, a towarzystwo owo nie da znajomości życia, zwłaszcza że składa się ono jeszcze nie z ludzi, ale młodzieńców. Monografie psychiatryczne wynagradzają ten brak. Sam Hansson jest dzieckiem włościańskiem, które wychowało się w ciasnej sferze zagrody chłopskiej, prawdopodobnie wcześnie z nią zerwało związek, a w uniwersytecie żyło samotnie lub w gwarnej wymianie zdań — po nad warstwami, tj. po za życiem, oderwane od stanu włościańskiego, nieprzyswojone przez inny. Nowela jego „Bez ogniska domowego,“ jeden z najlepszych utworów, kreśli tę pustkę owego atomu społecznego, która kończy się samobójstwem. Słowem, utwory młodego pokolenia, to dowód tylko, że Skandynawia na wielką skalę zaczęła wytwarzać wióry społeczne, pozaklasowe, że stare podstawy bytu normalnego pryskają, a nowe się nie ukazują.

K. R. Ż.

LITERATURA RUSKA.

Petersburg.

Wyszło drugie wydanie dzieła publicysty Strachowa p. t. *Świat jako całość.* Szumna nazwa nie zupełnie odpowiada treści, książka ta bowiem jest tylko zbiorem oderwanych artykułów. Jednolitość owemu zbiorowi nadaje tylko charakter badań autora: wszędzie on jest podobny do łyżwiarza, który lekko się ślizga nad głębią. Brak miejsca nie pozwala przytoczyć wszystkich zagadnień, zaznaczymy tedy najwybitniejsze.

W pierwszym artykule autor roztrząsa poglądy naturalistów i kończy tak: mniejsza, czy człowiek jest zwierzęciem wyższem od innych, zadowolić nasz umysł mogłaby tylko taka wiedza, któraby dowiodła, że człowiek jest ostatnim wyrazem przyrody, że wyższej istoty być nie może.

Przekonawszy się, że człowiek jest zwierzęciem, w drugim artykule autor dowodzi, że zwierzę jest organizmem, zaś w trzeciem twierdzi, że organizmy są przedmiotami. Do tych rozpraw możnaby dodać czwartą niemniej obszerną, że każdy przedmiot jest zjawiskiem w naturze.

Dalej autor rozprawia o materyi i jako wróg badań, potrzebujących wiele czasu, mniema, że prawdziwą wiedzę można zdobyć tylko myśleniem metafizycznem. Żeby zbadać duszę ludzką — powiada — uczeni zaczynają zwykle tak, jak gdyby wiedzieli, co znaczy materya. Jest to droga mylna! Ponieważ człowiek, z wyjątkiem materyi, jest duchem, powinniśmy tedy brać duszę jego jako przedmiot wiadomy i starać się poznać, czem jest materya. Poczem dowodzi, że przyczyna śmierci ludzkiej jest tajemnicą niezbadaną, że eliksir wiecznego życia jest rzeczą godną zastanowienia się i poszukiwania. Dalej przytacza kilka stronic elementarnej wiedzy o tem, jak się wytwarzają zarodki organizmów, jak dojrzewają, a urągając naturalistom powiada: Życie ludzkie, podług ich mniemania, jest podobne do chmury; tworzy się z niczego i nie wiadomo jak zanika. Stąd wypada, że zjawiska ruchu i objaw siły mogą być bez szczególnych zarodków życia. Skoro za pomocą pary można wytworzyć podobizną chmury, dlaczegobyśmy nie mogli zdziałać sztucznych organizmów? Paracelsiusz opisuje nawet, jak można tworzyć sztucznych ludzi — homunculów.

Po 40 dniach fermentacyi w słoju zakrytym, materya (sperma) ożywia się, rusza, przybiera formę podobną do ludzkiej, ale zupełnie przezroczystą i bez *corpus.* Poczem trzeba ją karmić *arcano sanguinis humani* w ciągu 40 tygodni i zachowywać przy temperaturze *ventris equini*, a dojrzeje i otrzymamy zwykłe ludzkie dziecko tylko trochę mniejsze — zowiemy go *Homunculus.* (Strasburg 1616, t. I, str. 883).

Śmierć — powiada p. St. — jest przywilejem organizmów, jest dobrodziejstwem natury, albowiem na tem się zasadza postęp. Gdyby śmierć nie istniała, wszystko by zakrzepło w pewnej formie: śmierć jest udoskonaleniem zjawisk.

Podobne twierdzenie, chociaż nie nowe, jest przynajmniej zrozumiałe. Można tylko zarzucić autorowi, że za długo, bo na 140 stronicach, powtarzał komunały wytarte, żeby dowieść tego, co można wyłuszczyć na kilku kartach. Dla kogo np. potrzebna jest długa rozprawa o tem, że organizm ma wewnętrzne i zewnętrzne organy różne, kryształ zaś we wszystkich cząstkach jest jednolity.

Przerzuciwszy jeszcze 40 stronic pogawędki, niewiele znaczącej, spotykamy się z inną myślą wyraźniejszą. Autor zapytuje: jaki cel życia? I odpowiada: Samo życie jest celem — czego więcej trzeba? Ktoś dąży po ulicy, filozof gotów zagadnąć: dokąd idzie ten człowiek i po co? Tymczasem okaże się, że on dąży bez celu, czyli, że celem jego jest przechadzka sama. Zjawisko życia o tyle jest urocze, o ile nie wiemy, skąd przychodzi i dokąd podąża, gdybyśmy dowiedzieli się, życie straciłoby (!) wszelką wartość. Stąd wynik — dorzućmy — że dociekania w tym względzie są grzechem.

Tu się kończy pierwszy dział książki. W drugim autor roztrząsa możebność zjawiska życia na innych planetach i w ślad za Heglem mniema, że gwiazdy są wysypką na obliczu nieba. Przytoczmy w skróceniu rozumowania p. Strachowa.

— Istoty obdarzone rozumem nie mogą mieć formy wyższej od ludzkiej; skrzydlaty np. człowiek, nie mając rąk, posiadałby organizacyę niższą, głowę zaś dla równowagi mieć jak najmniejszą. Słowem, jeżeli na innych planetach są wyższe twory, muszą być podobne do ziemskich. Autor zapomina, że owady pomimo skrzydeł mają po kilka kończyn, z których, przy pewnych warunkach mogłyby się wytworzyć i ręce i nogi. Natomiast przytacza rozprawę Huygens'a, w której ten stara się dowieść (1698 r.), że organizmy innych planet w głównych zasadach muszą być podobne do ziemskich. Wspomniawszy zaś o idei Comte'a, że gdybyśmy mieli jeszcze jeden zmysł, świat by nam wydał się innym, p. Strachow woła: rozprawa o zmyśle nieistniejącym jest chybioną! Można biadać nad tem, co człowiek traci, ale marzyć o rzeczy, której nie rozumie i której prawdopodobnie nie ma we wszechświecie, jest mrzonką bezzasadną, tembardziej, że dla zbadania przyrody mamy dosyć zmysłów i nie możemy nawet wyobrazić sobie, na co by się zdały zbyteczne. Zwolennikom czwartego wymiaru możemy powiedzieć, że jeśli są planety, na których dwa razy dwa stanowi pięć, a przestrzeń mierzy się czwartym wymiarem, taka planeta niema żadnego dla nas znaczenia.

Ze wszystkich tych wniosków autor przychodzi do przekonania, że nasz świat jest najlepszym ze światów, że na innych mogą być tylko kopie życia ziemskiego, albo równe, albo gorsze; poczem stawia pytania: po co zdarzyłyby się takie równoległe, niezwiązane z sobą objawy życia? One nie mają żadnej wyraźnej zasady, niepotrzebne są, a stąd pewnik, że ich zupełnie niema, że życie istnieje tylko na ziemi, zaś człowiek jest środowiskiem świata.

Trzeci rozdział p. Strachow poświęca psychologii ptaków i zapominając, że nie tylko na ziemi, ale i we wszechświecie ustrój organizmów powinien mieć jednakie zasady, mniema, że niesłusznie umysł i duszę ptaków mierzymy własną psychologią. A więc — do ptaków nie mamy prawa stosować pojęć ludzkich, zaś do ustroju nieznanych światów — mamy je. Tutaj, jak widzimy, logika trochę kuleje.

W czwartym dziale autor rozmyśla, czem się człowiek różni od zwierzęcia i przychodzi do przekonania, że w obliczu człowieka kończy się walka o byt — ponieważ wszystko zwalczono i ludzie nie mają współzawodników. Odtąd zadaniem nauki ma być poszukiwanie znaczenia człowieka na ziemi. Jaki kierunek przybiorą owe poszukiwania, autor nie wskazuje, a nawet nie domyśla się.

Drugą część książki poświęca przyrodzie nieorganicznej i usiłuje obalić teraźniejsze pojęcie o atomach. Są rzeczy — powiada — których umysł ludzki nigdy nie zgłębi, naprzykład związku ducha z materyą. Od czasów Grecyi wszystkie teorye w tym zakresie, równie jak i hipotezy o atomach. są płonne. Graeve słusznie powiada: co się tycze ustroju materyi, żadne wysiłki umysłu ludzkiego nie dadzą odpowiedzi zadawalającej; nietylko ustroju — dorzuca p. S. — prostszej rzeczy nie wiemy — czy materyalne przedmioty można dzielić bez końca na cząstki, czy też nie. Chemicy dowodzą, że atom się nie dzieli, a więc niby znają zasadnicze prawo materyi. Złudzenie! Co jest przedmiotem — wiemy, co znaczy atom — nikt nie wie. Pojęcie o nim jest empiryzmem nieuzasadnionym. Zamiast mówić, że ciało chemiczne składa się z cząstek, zwanych atomami, mamy prawo raczej powiedzieć, że każde ciało dzieli się na części. Ciało ma wagę, objętość, formę, w niem niema żadnych cząstek niezależnych, możemy je drobić, jak się nam podoba, a chociaż materya jest niezmienna, dojść stąd do wniosku o atomie, niepodzielnym — nie mamy prawa. Jest to wniosek metafizyczny, nieoparty na żadnem badaniu, jest to hipoteza najśmielsza śród wszystkich, naprożno tedy materyaliści chełpią się, że ich poszukiwania mają grunt stały pod sobą. Cząstka żelaza — powiada Dubois Raymond — czy to w kole machiny, czy we krwi człowieka, posiada własność niezmienną. P. Strachow pyta: O jakiej cząstce tu mowa? Kto ją widział? Wiemy, że najmniejsza odrobina żelaza może być rostarta lub stopiona z innym metalem, gdzie już nie dostrzeżesz owej wiecznej niezmiennej własności, nim nie wydobędziesz owej cząstki mieszaniny.

Fizycy dowodzą, że materya jest ścisła, a gdy dostrzegą, że objętość ciała pod ciśnieniem zmniejsza się, twierdzą, że między atomami są puste miejsca. Jest to hipoteza dowolna, albowiem przypisuje atomom własność ścisłości bezwzględnej, której żadne poszukiwania nie mogą wykazać: absolutnie ścisłych ciał nie znamy, nie dziw tedy, że teoryi o atomach, jako fantastycznej, ani obalić, ani uzasadnić nie możemy.

Pouillet mniema, że z czasem wulkan, lub jakiś planeta może rzucić na powierzchnię ziemi taką materyę, której atomy będą dostrzegalne. Juźci, jeśli atomy istnieją, dlaczegożby nie miały posiadać znacznej objętości? Jakby fizycy radzili sobie z takiem ciałem? — pyta p. S. szyderczo. Własność jego byłaby niepodobna do własności ciał znanych, mielibyśmy materyę, niemającą cech materyi: ona by się nie drobiła na części, nie łączyłaby się z innymi, ale stałaby tuż obok, oddzielona pustką, nie mogłaby zmienić formy, ani objętości. Dla pojęcia o takiem ciele musielibyśmy wytworzyć naukę odmienną od teraźniejszej, to też obecna niema prawa mówić o atomach, ani nadawać im własności, którym poszukiwania nasze przeczą; słowem, powinniśmy odrzucić zbyteczną teoryę i badać to, co się poddaje badaniu, to jest ciała istniejące.

Cała ta rozprawa, jak widzimy, nie jest oryginalna. Spór atomistów z ich przeciwnikami istnieje od lat wielu. Ze stanowiska filozoficzno chemicznego atomy mają znaczenie jako pewien punkt oparcia. Zamiast powiedzieć: woda dzieli się na wodor i tlen w stosunku dwóch do jednego, mówią: woda składa się z dwóch atomów pierwszego ciała i jednego atomu — drugiego. Skoro na hipotezę atomistyczną tak będziemy patrzyli, żadnych sprzeczek być nie może. Juźci wśród atomistów są skrajni, które mniemają, że atomy są wielkością określoną, większość jednak nie trzyma się tego poglądu, lecz rozważa atomy jako pojęcie, bez którego wiedza wpada w koło błędne. W samej rzeczy, wszystko, co się dzieli bez końca, niema granic maluczkości, do pojęcia tedy o ciałach trzebaby wnieść ilość najmniejszą z danych. Matematyka uczy, że taka ilość, pomnożona chociażby milion razy, nie daje żadnej określonej wielkości i wciąż jest najmniejszą z danych. Rachunek różniczkowy, chociaż zwraca uwagę na wszelką wielkość, a więc i na najmniejszą z danych, przy wyliczaniu jednak trzyma się pewnych granic stałych. Chemicy nie inaczej postępują. Wielkość ciała — powiadają — z jednej strony ma atom, tj. liczbę określoną, z drugiej zaś w każdym szczególnym razie też wiadomą. Niepokaźnie wyglądałaby nauka, niemająca punktu oparcia, a więc błąkająca się od granic nieskończenie małych do granic bezwzględnie wielkich!

Czy atomy mogą istnieć, lub nie — jest to rzeczą podrzędną; dla uporządkowania wzajemnego stosunku ciał są one potrzebne jako atrybuty pomocnicze. Gdyby przeciwnicy tej teoryi patrzyli na atomy, jako na pojęcia oderwane, całe dowodzenie o tem, że atomy nie istnieją, stałoby się zbyteczne. Więc i rozprawa p. Strachowa, chociaż wielce poważna, jest zbyteczna: ani nowych źródeł wiedzy, ani ściślejszego poglądu na rzeczy nie daje.

N. B.

TEATR.

Flirt. Komedya w 4-ch aktach, zalecona do grania przez komitet konkursu *Kuryera warszawskiego.*

Przedewszystkiem, co to jest *flirt?* W salonach nazywają to miłością — zabawą, według jednej z autorek — początkiem romansu, który nigdy nie będzie dokończony. Można to jednak określić dosadniej: jest to najpospolitsza gra zmysłów, złagodzona zewnętrznie przez formy towarzyskie. Tołstoj w swojej *Kreutzerowskiej sonacie* widzi wszędzie, na ulicy i we wszelkich stosunkach towarzyskich jeden wielki dom nierządu. W każdym odcieniu sympatyi obu płci upatruje tylko dążność do zepsucia, na każdym kroku pobudki niskie, które przy lada sposobności przejść mogą w obydne. Nie jesteśmy wyznawcami tak skrajnego pesymizmu tego autora; ale musimy przyznać, iż pod maską najestetyczniejszą, pod zasłoną konwenansu silniej lub słabiej tętnią zawsze najbrutalniejsze zachcenia, z których „flirtujący" nie zawsze zdaje sobie sprawę. W salonie jednak wolno dużo, więcej nawet, niżeli na strychu lub w suterenie, bo przynajmniej w „szarych tłumach" czynniki fizyologiczne nie potrzebują długich i kunsztownych wstępów, wybiegów i obłudy, prowadzących do zwyrodnienia moralnego. Na kozetkach, szeslongach, na przechadzkach po wzorzystych dywanach przy świetle lamp, stłumionem umbrelkami kolorowemi, może się toczyć „flirt" uprawniony i tolerowany, byleby nie przekraczał pewnych granic. Ktoś utrzymuje, iż jest to zabawa nowoczesna. Nie. Przeszłość znała tylko mniej manowców, mniej kunsztu towarzyskiego. Potulność i zwyczajowe poddaństwo kobiet w warstwach wyższych uwalniało zabiegi od wstępów i omówień. Dziś uległość i siła znikły, energia jednak zmysłowa się wzmogła pod wpływem zwiększonej pobudliwości nerwowej. Salon więc stał się targowiskiem i tokowiskiem. Gdy chodzi o przedsiębiorstwo małżeńskie, odbywa się kupno i sprzedaż, gdy tylko o popuszczenie cugli popędom samczym, zjawia się flirt w pojęciu rozciągliwszem, niż mu nadaje autor komedyi konkursowej. U niego przedewszystkiem mężczyźni są ofiarami tej zabawy, kobiety — jej mistrzyniami.

Na tle tej gry towarzyskiej autor rozsnuł wątek swej sztuki, no i zaciekawił przede-

wszystkiem świat... flirtujący. Zebrania towarzyskie, *jour-fixy*, tualety, fraki, piękne damy, wesołe, lekkie rozmowy, prawie nie schodzą ze sceny przez wszystkie cztery akty. Zofia Płonicka, to najwybitniejsza przedstawicielka flirtu, tem bardziej, że ma starego męża, który w chwili bolesnego dlań podejrzenia zanadto dowcipnie i zręcznie charakteryzuje swój stosunek do żony: „Ja mam lat pięćdziesiąt, ona zaledwie dwadzieścia sześć: pięćdziesiąt w dwudziestu sześciu się nie mieści, więc wzięła jednego.“ Tym jednym jest Murski, który ją drażnił dość długo swą sztywnością i chłodem, więc postanowiła go pokonać. Obojętnego na wdzięki kobiece zdobyła kosztem udanej miłości, ale później nie mogła sobie dać rady z tym rozdmuchanym ogniem. Zakochany młodzieniec wszędzie ją prześladuje i ściga. Najbardziej ją dręczy obawa przed mężem. Mogłaby się wycofać z kłopotliwego położenia, gdyby tylko potrafiła wydostać od Murskiego listy. Jakoż wyjednała przyrzeczenie ich zwrotu wzamian za chwilkę serdecznego sam na sam. Wyznacza więc schadzkę we własnym buduarze, ale dla bezpieczeństwa zaprasza w tajemnicy przed Murskim drugą ofiarę flirtu: Flirtowskiego, poczciwca ze wsi, który kocha swoją Adelę, ale chce się nieco pobałamucić, gdyż „małżeństwo, jak rolnictwo, potrzebuje także płodozmianu.“ Przychodzi atoli zawcześnie i w obawie spotkania męża Płonickiej, ukrywa się za parawanem. To mu daje sposobność wysłuchania rozmowy pani domu z inną zwolenniczką flirtu i dowiedzenia się, że sam wrzekomo jest zdradzany przez żonę. Jednocześnie poznawszy, iż jest wywiedziony w pole, stygnie dla p. Zofii i umyka, widziany tylko przez Murskiego.

Tu następuje przesilenie skutków flirtu przy nastroju dramatycznym. Nieszczęśliwy kochanek zamyka drzwi na klucz i grozi zimnej kobiecie na przemian to rewolwerem, to trucizną. Wbiega córeczka Płońskiej i dla spotęgowania tragizmu chce wypić truciznę ze szklanki, w mniemaniu, że napój niewinny. Murski dowiedziawszy się, że Płonicka ma dzieci i że dla nich żyć powinna, mięknie, roztkliwia się i zwróciwszy listy bezinteresownie, znika na zawsze z jej oczu. Naturalnie ona po takiem zajściu wstrząsającem traci wszelką ochotę do flirtu, staje się wzorową matką i żoną starego męża.

Taka jest główna nić, około której snują się poboczne przygody flirtowe i zabawne nieporozumienia. Wszystkie niemal sceny pełne są ruchu i życia, miejscami zaś szczerego humoru, co przy dusznej ciągle atmosferze salonowej urozmaica sztukę. Znajomość warunków scenicznych, kilka chwil i postaci, dobrze z życia pochwyconych, każe szukać pióra pisarza wprawnego, ale znowu banalna i słaba scena z trucizną i rewolwerem nasuwa wątpliwość. Razi również nieprawdopodobieństwem zbyt długie pozostawanie w cudzym buduarze Flirtowskiego, tudzież jego rozmowa z sobą, gdy lada chwila może ktoś nadejść i gdy powinien śpieszyć, ażeby złapać żonę na wrzekomej zdradzie. Niesłychana prostota i nieświadomość siedemnastoletniej panienki, robi wrażenie postaci z epoki romantycznej; ale to może jest sztuczna hodowla naiwnej, prowadzona przez matkę, która sama chce się uczynić młodą. Sztuka zyskała kasowe powodzenie i zajęcie widzów. Pod względem wartości literackiej nie zajmie ona wybitnego miejsca w piśmiennictwie dramatycznem. Dla teatru atoli jest nabytkiem nierównie cenniejszym niż znaczna liczba przyswojonych utworów obcych.

Wogóle sztuka odegrana była wytwornie. Pani Ludowa świetnie uplastycznila postać lekkiej damy salonowej, uprawiającej z zamiłowaniem „zabawę miłosną,“ p. Czakówna wybornie pojęła i ożywiła typ mężatki szczerej w uczuciach, nie zarażonej mikrobami flirtu, które wynalazł w salonach stary mąż usiłującej wiecznie być młodą żony, Żabski, doskonale zarysowany w grze p. Rapackiego. Pani Borkowskiej dostała się właśnie rola małżonki tego poczciwca. Artystka ta znalazła tym razem szersze niż kiedykolwiek pole do wykazania swych zdolności. P. Frenkiel jako Flirtowski, sypał rzęsiście iskry szczerego humoru; pan Wolski bardzo dobrze odtworzył typ zużytego półgłówka salonowego, nie tylko grą, lecz i charakteryzacyą. P. Trapszówna w niewielkiej rólce nie miała dobrej sposobności przypomnienia widzom swego talentu. Reszta artystów uzupełniła akord, przyjemne robiący wrażenie na słuchaczu.

Zenon Piętkiewicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KONGRES KOLEJOWY W PETERSBURGU.

II.

Najzyskowniejszy dział gospodarki kolejowej — ruch towarowy, był przedmiotem szerokich rozpraw na kongresie. Sprawa ta już na drugim zjeździe w Medyolanie zajęła pierwsze miejsce i wywołała szereg projektów tudzież badań i prób około zastosowania jednej ogólnej taryfy dla ładunków handlowych. Okazało się jednak, iż za dużo jest powikłań i trudności do usunięcia. Gatunkowanie towarów nadzwyczaj różnorodne na wszelkich rynkach, a co najważniejsza—współzawodnictwo państw w dziedzinie handlowej — to są zbyt ważne przeszkody w ujednostajnieniu taryf. P. de Perl w rozprawie swojej „O środkach rozwoju międzynarodowego ruchu towarowego na kolejach“ przemawia za pewnem uproszczeniem taryf dla przesyłek pośpiesznej komunikacyi, stanowiących pod względem wagi 5%, pod względem zaś wartości 15% ogółu frachtów. Taryfa normalna, zniżona dla przesyłek specyalnych i zwiększona dla towarów wysyłanych pospiesznie, zdaniem referenta, byłaby bardzo pożądana i dogodna. Dla reszty ładunków wystarczyłyby tymczasem przepisy, opracowane przez konwencyę w Bernie i przyjęte w r. b. przez Rosyę.

Po za sprawami, mającemi na celu wyłącznie interes przedsiębiorstw kolejowych, zasługuje na uwagę rozprawa Jerzego de Laveleye o kasach emerytalnych i kasach pomocy. Ponieważ autor nie mógł sam przybyć na kongres, więc w przedstawieniu i poparciu tej pracy wyręczył go były minister belgijski robót publicznych, Olin. Głosuje on za przymusowem uczestnictwem pracowników kolejowych w kasach emerytalnych lub zasiłkowych, tudzież za koniecznością zaopiekowania się rządów istniejącemi kasami, aby tym sposobem w razie bankructwa towarzystw kolejowych los urzędników i oficyalistów był należycie zabezpieczony, a nadto, skarb państwa, po objęciu dróg prywatnych z chwilą upływu terminu koncesyi, nie byłby narażony na konieczność zadośćuczynienia zobowiązaniom towarzystwa wobec ich pracowników. Delegat rządu portugalskiego, Guerreiro, podzielając poniekąd wniosek powyższy, położył nacisk na potrzebę odosobnienia kas emerytalnych od zasiłkowych. Udział w emerytalnych, zdaniem jego, powinien być przymusowy, zasiłkowe zaś, wzmacniane wkładami dobrowolnymi, zależeć mogą od uznania samych uczestników. Wszystkie te uwagi i wnioski wywołały niezadowolenie i protest ze strony przedstawicieli francuskich. Pp. Leon Say, Carlier, Noblemaire, Griolet i Barabant uważają, iż przymusowe wkłady, z woli pracodawców, wytwarzają wcale niepożądane a fałszywe położenie. Żądają więc oni dania urzędnikom kolejowym zupełnej swobody co do udziału w różnych rodzajach kas. Na dowód przeciwnicy Laveleye'a, Olina i Guerreira przytaczają doskonale działające kasy przy Towarzystwie drogi Orleańskiej, tudzież na linii Paryż-Lyon-morze Śródziemne. Dla stałych pracowników istnieją tam oddzielne urządzenia emerytalne, dla robotników zaś i wogóle służby czasowej — kasy zasiłkowe. Ostatecznie uczestnicy kongresu przyszli do następnego wniosku w tej sprawie: Moralnym obowiązkiem towarzystw kolejowych powinno być zabezpieczenie bytu pracowników tudzież ich rodzin bądź za pomocą kas emerytalnych, bądź też drogą ubezpieczenia w prywatnych instytucyach asekuracyjnych, z warunkiem, iżby każdemu z urzędników lub oficyalistów otworzono oddzielny rachunek osobisty, na którego rzecz powinna być wnoszona część płacy miesięcznej tudzież składka dodatkowa, uiszczana przez dany zarząd kolejowy. Postanowiono w końcu zwrócić się do zarządów kolei, aby na przyszły kongres dostarczyły szczegółowych danych statystycznych, dotyczących ruchu służby na kolejach (przyjęcie do pracy, czas służby, uwolnienie od niej, śmiertelność itd.). Za lat dwa zatem będzie obszerniejszy materyał w tej mierze do przejrzenia, który może wyświetli wiele warunków bytu pracowników kolejowych, nieznanych dobrze możnowładcom w tych przedsiębiorstwach olbrzymich; baczniejsze zaś przyjrzenie się owym pionkom, podtrzymującym cały gmach komunikacyi, przyczyni się do szybszego załatwienia sprawy, rozkładanej na dwuletnie raty. Pożądane byłoby tylko w zbieraniu danych statystycznych uwzględnienie warunków pracy, jej stopnia natężenia, ugrupowania szczegółów o wszelkich praktykantach kolejowych i dyetaryuszach, którzy przez długi szereg lat, oczekując „etatu,“ wyręczają dziesięciu pod pozorem „zaprawiania się do służby.“ Tacy bez jutra, pracujący na warunkach najmitów podziennych, częstokroć po 24 godziny bez przerwy, powinni także być wliczeni do uczestników kasy emerytalnej, chociażby z tego względu, że przedsiębiorstwa kolejowe ogromną z ich pracy korzyść ciągną, większą czasem, niż z usług urzędników etatowych, których najważniejsze czynności spełniają właśnie owi dyetaryusze, licho płatni. Wątpliwą tylko jest rzeczą, czy towarzystwa kolejowe i wszelkie ich biura chętnie udzielałyby szczegółów o tej najtańszej i zarazem najprodukcyjniejszej sile roboczej. Wcielenie owych szeregowców nieregularnych do stałej armii, korzystającej z przywilejów utrwalania gruntu na przyszłość, pociągnęłoby wydatki, uszczuplające w drobnej cząstce dywidendę: wkłady pracodawców do kasy na rzecz pracowników. To jest wzgląd, który może najbardziej zniechęciłby towarzystwa do przykładania cegiełki w budowie trwalszej przyszłości wogóle pracowników kolejowych tam, gdzie kasy posiłkują się wkładami pracodawców.

Odrębnym przedmiotem rozpraw były tak zwane koleje ekonomiczne, czyli „dojazdowe,“ które, zdaniem uczestników kongresu, powinny mieć jaknajwiększe poparcie, ułatwienia i zachętę. W Rosyi linie te, zaglądające do wszystkich zakątków kraju i łączące je z głównemi ogniskami przemysłu i handlu, tworzą dziś początek nowego okresu w rozwoju przedsiębiorstw kolejowych *). Resztę rozpraw poświęcono działom specyalnym. Żeby atoli dać czytelnikowi pojęcie o ich różnorodności, przejrzyjmy ten szereg, chociaż przelotnie. W pierwszej sekcyi pp. Briche i de Buschere roztrząsali sprawę kruszenia i zrywania relsów, pan Kowalski rozprawiał o podkładach kruszcowych (w sekcyi drugiej) p. Sauvage o zmianie wydajności pary i skuteczności

*) O tym przedmiocie ważnym pomówimy w osobnym artykule.

działania kotłów w stosunku do szczegółów ich budowy, Adams—o systemach rozdziału pary, Hodcige — o zużyciu opału i bandażach, Masui — o brygadach parowozowych, Hubert — o smarach parowozowych; (w sekcyi trzeciej) pp. Ramaekers — o blokowym systemie sygnalizacyi, Dumont i Sartiaux — o ich oświetleniu, Larminat i Moffre — o zużytkowywaniu stacyi i jej obsługi, Cairo — o zużytkowywaniu wagonów pasażerskich i towarowych, Richter — o najlepszych sposobach wymiany wagonów między kolejami. Dalej roztrząsano sprawy następujące: Rozkład wydatków na stacyach, należących do kilku dróg i na cząstkach linii, sposoby najpraktyczniejszego rozkładu ładunków na oddzielnych i na kilku kolejach, wspólne taryfy dla kilku linii, wartość kilometryczna ruchu towarowego i pasażerskiego, tabor na drogach ekonomicznych, różne motory pociągowe, prawodawstwa dotyczące kolei, kontrola szybkości pociągów, drezyny, welocypedy na liniach, komunikacya między pasażerami a służbą pociągu itd. Ten nawał różnorodnych spraw technicznych, rozpatrywanych w oddzielnych referatach, nie pozwolił uczestnikom kongresu nad niektóremi gruntownie się zastanowić, to też znaczna liczba wniosków, „podanych do wiadomości," nie prędko znajdzie grunt praktyczny. Powyższy atoli szereg wogóle wykazuje, iż przedstawiciele przedsiębiorstw kolejowych dążą bezustannie do jaknajwiększych uproszczeń, do wyciągania możliwie najwyższych zysków przy zmniejszaniu kosztów drogą ulepszeń technicznych. Drzewo się wyczerpuje, węgiel także nie jest wieczny, z każdym rokiem, pomimo rozrostu produkcyi, zapotrzebowanie ogromnie się potęguje. Trzeba zatem pomyśleć o oszczędnościach, o zastosowaniu systemów zmniejszających ilość paliwa lub mogących zużytkować odpadki naftowe. Na ten produkt, jako opał parowozowy, zwrócono już w Rosyi uwagę. Wszystko to jednak może zabezpieczyć przyszłość bliższą. Dla dalszej trzeba udoskonalić i wyzyskać inne motory, a więc — elektryczność. Podkłady stanowią również ważną rubrykę wydatków. Drewniane nadzwyczaj szybko się psują i wymagają ciągłej zamiany na świeże, nasycanie zaś płynami utrwalającymi, zdaje się iż nie wydało zbyt świetnych rezultatów. Potrzeba zatem poważnie się zastanowić nad zastosowaniem podstaw metalowych. Mają więc nad czem myśleć i pracować kierownicy arteryi komunikacyjnych. Nie dziwimy się, że wobec tego główne czynniki rozrostu produkcyi kolejowej — armie pracowników, mniej zajmują miejsca w uwadze przedstawicieli niż podkłady, smary, opał lub bagaż. A jednak i tutaj, gwoli oszczędności, należałoby się rozszerzyć. Tym czasem, rzecz wielce charakterystyczna, nikt z delegatów nie opracował i nie odczytał referatu: o przeciążeniu pracą i wyczerpaniu długiem czuwaniem służby kolejowej, jako przyczynie strat znacznych wynikających z rozbicia się pociągów...

Drog.

PAMIĘTNIK.

Cholera.

Jakkolwiek cholera w ostatnich tygodniach wzmogła się pod względem obszaru (gdyż zajęła niektóre okolice gubernii radomskiej i kieleckiej), osłabła pod względem natężenia. Zdaje się jak gdyby zarazek jej utracił swoją pierwotną złośliwość i złagodniał w działaniu: nietylko procent zachorowań jest niższy, ale i śmiertelność mniejsza. Bywają dnie, w których nikt nie przybywa do szpitalów lub nikt w nich nie umiera. To też w Warszawie zwolniono nieco energię sił i środków, użytych do zwalczenia epidemii, a przedewszystkiem ograniczono liczbę powołanych do tego celu lekarzów. Przyznać trzeba, że obok organów, czuwających nad zdrowiem ogólnem, sama publiczność bardzo skutecznie przeciwdziałała szerzeniu się epidemii. Jedni ze strachu i wielkiej dbałości o swe życie, inni z rozumnego pojmowania istoty niebezpieczeństwa i sposobów zażegnania go postępowali ściśle według wskazówek hygienicznych. Dowodem są dodatnie skutki, a także szybka rozprzedaż wszelkich książeczek, poświęconych tej sprawie. Wyborna broszura dr. O. Bujwida („O zarazku cholery") wyszła nawet w drugiem wydaniu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że odkrycia bakteryologii, które określiły dość ściśle naturę, własności, przyjazne i nieprzyjazne warunki rozwoju bacillusa przecinkowego, a tem samem pozwoliłyby hygienistom jasno wskazać sposoby zabezpieczenia się przeciw niemu, dały ogółowi broń w rękę i nauczyły go walczyć. Jeszcze przed ćwierć wiekiem ogół ten wiedział tyle zaledwie, że trzeba się bać i strzedz, ale czego strzedz się — nie mówiono mu. Dziś położenie się zmieniło — to też i rezultaty są inne.

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* zamieściliśmy korespondencyę *Warsz. Dziewnika* o wykroczeniach żydów w osadzie Ostrowie, gdzie oni jakoby mieli umyślnie rozszerzać cholerę śród chrześcian. Obecnie tenże *Dziewnik* zaprzecza owemu doniesieniu swojemu we wszystkich szczegółach. „Dane — powiada on — zebrane przez śledztwo administracyjne i sądowe, prowadzone na miejscu, wyjaśniły, iż żadnych zaburzeń o charakterze napadu jednej części ludności na drugą nie było, lecz była w dniu 11 września zwykła bójka, wywołana zakazaniem przez wartowników, postawionych przez osobę niemającą do tego żadnego prawa, przejścia pochodu pogrzebowego z ciałem zmarłego mełameda, Fruchtmana, przez ul. Koczanowską. Bójka ta po upływie godziny zakończyła się. Ani w czasie pogrzebu wspomnianego nauczyciela, ani po pogrzebie nie zauważono wcale żadnego dążenia żydów do rozszerzenia zarazy wśród chrześcian tymi sposobami, które były wymienione w korespondencyi. Nie wykryto także wypadków zanieczyszczania przez żydów studzien w celu rozszerzenia epidemii śród chrześcian. Zmyślona jest także przez korespondenta wiadomość o odbytej w nocy z 13 na 14 września żydowskiej procesyi z pochodniami, połączonej z tańcami, muzyką i zniewažaniem spotykanych po drodze chrześcian, w rzeczywistości zaś było tylko to, iż w początkach epidemii było pewne ożywienie śród żydów, połączone z pijaństwem, zarówno wskutek ich świąt, jak i w celu dodania sobie odwagi i osłabienia przygniatającego działania strachu z powodu cholery; lecz następnie, w czasie wskazanym w korespondencyi, żydzi pod wpływem strachu, z powodu coraz bardziej szerzącej się wśród nich epidemii, wpadli w zupełne pognębienie i nie urządzali już żadnych zabaw."

Chaos.

Nawoływania naszych apostołów ogrodnictwa i jedwabnictwa niewątpliwie rozbudziły pewien ruch w obu tych dziedzinach pracy, ale jest to jeszcze ruch bardzo słaby i kto wie, czy on nie ustąpi miejsca zniechęceniu. Nie dość bowiem nakłonić kogoś, ażeby coś robił, trzeba jeszcze go nauczyć i w potrzebie wesprzeć pomocą. Tymczasem u nas ani jednostki, ani stowarzyszenia, ani nawet wydawnictwa nie rozwijają w tym kierunku prawie żadnej działalności. Nie mamy uzdolnionych ogrodników z wymaganiami przystępnemi dla kieszeni ogółu ziemian i fermerów; nie mamy wizytatorów, którzyby zwiedzali peryodycznie ogrody za umiarkowane wynagrodzenie; nie mamy stowarzyszenia, któreby ułatwiało nabywanie drzewek i nasion (Towarzystwo ogrodnicze zajmuje się wyłącznie „pogadankami"); nie mamy organu udzielającego rad praktycznych („Ogrodnik polski" albo teoretyzuje, albo zamieszcza dorywcze notatki). Nieraz usłyszeć można od właściciela folwarku, że chętnie założyłby u siebie ogród owocowy, ale nie wie, do kogo zwrócić się z zaufaniem o szczepki, gdyż jego sąsiad, który kiedyś sprowadził sobie 100 sztuk, otrzymał liche, koszlawe, zraczałe, źle wykopane, ale dobrze zapłacone. Inny, czytając systematycznie „Ogrodnik polski," skarży się, że nie znalazł w nim ani jednej rady o sposobach tępienia robaków, pomimo że rok obecny szczególnie obfitował w tę plagę. Inny wzdycha, że u nas nie ma podobnego pisma, jak niemiecki „Practischer Rathgeber." Inny zaręcza, że w żaden sposób nie może zapłacić za 3-letnie drzewko 50 kop. bez transportu. Inny wreszcie pyta, dlaczego cukier, żyto, kartofle, buraki mają mniej więcej jednakie ceny w całym kraju, a drzewka są sprzedawane według najdziwaczniejszych szacowań?

To samo w jedwabnictwie. Przed kilku dniami dzienniki ogłosiły zawiadomienie, gdzie i po jakich cenach dostać można drzewek morwowych. Otóż ciekawe są te ceny! Jeden liczy sobie po 1 kopiejce za rok płonki, drugi po 2, trzeci po 4, a czwarty po 10! Uwzględniwszy nawet potrzebę stosowania odmiennych zasad w obliczaniu ceny drzewek starszych i młodszych, mimo to wypadną nam olbrzymie różnice. I tak: p. Hoser żąda za sztukę czteroletnią 40 k., p. Wolski w Siedlcach 6 kop.; p. Hoser za trzyletnią 10 kop., a p. Wolski 4 kop. itd. Ponieważ tu zaś nie chodzi o sztuki pojedyncze, ale o setki i tysiące, więc różnice wychodzą olbrzymie. Czego one dowodzą? Przedewszystkiem tego, że u nas handel drzewkami nie wszedł dotychczas na stałe tory, określone kosztami produkcyi, lecz układa swe ceny fantazyjnie, według woli i... stopnia chciwości.

Towarzystwo jedwabnicze pośredniczy w zakupie morw dla swych członków, więc im wyrównywa te różnice, wybiera najlepsze drzewka i najniższe ceny, ale Ogrodnicze wcale o swych członków się nie troszczy, więc można sobie wyobrazić, jak daleco oni w swych przedsięwzięciach zależni są od przypadku. A jednakże traf i wogóle chaos należałoby usunąć z tej sfery stosunków, jeżeli istotnie mamy zamiar przyprowadzić je do porządku i podnieść tę gałąź produkcyi. *W.*

Figlarze.

Znane, niemal słynne są u nas mieszkania dla stróżów, w najlepszym razie maleńkie stancyjki, w najgorszym — wilgotne, ciemne i ciasne nory lub komórki sąsiadujące z ustępami. Ponieważ skutkiem cholery policya ciągle rewiduje domy i naturalnie zwraca uwagę na te jamy, niektórzy więc właściciele dla uniknięcia odpowiedzialności i smutnej sławy w doniesieniach pism, opiewających ich szlachetne miłosierdzie, dali stróżom lepsze pomieszczenia na czas rewizyi, gdy zaś ją już przebyli szczęśliwie, przesadzają napowrót biedaków w dawne cuchnące dziuple. Odkryto jednakże sztuczki figlarzów i kazano im podpisać zobowiązania, że nadal nie będą się tego dopuszczali. Aż takimi środkami trzeba wyciskać litość z tych kamienicznych, a raczej skamieniałych serc. Niepodobna przypuścić, ażeby ci panowie rentyerzy nie zaglądali do izdebek swoich stróżów, ażeby nie widzieli ich nędzy, nadewszystko zaś, ażeby nie czuli tej strasznej, zabijającej woni, jaka się z nich wydobywa. Muszą więc oni posiadać jakąś szczególną odporność na tego rodzaju wrażenia, jeżeli im nie ulegają, dopóki nie zostaną wzięci za... deklaracye. *K.*

Przedstawienia konkursowe.

Przypomnieć winniśmy czytelnikom, że na mocy układu z dyrekcyą teatrów wyróżnione na konkursie *Kuryera warszawskiego* sztuki, przed ostatecznem przyznaniem nagrody, przedstawione być mają bezimiennie na scenie. Pomysł był dowcipny i zręczny, ale przedewszystkiem skuteczny jako środek ożywienia „sezonu.“ Zaraz po odegraniu pierwszej komedyi, „Flirt,“ zaroiło się i zawrzało w naszym światku literackim. Ambicyjki, zazdrostki, miłostki własne, cały rój drobnych robaczków zaczął brzęczeć, syczeć, szczypać, świergotać, gwizdać zmieszanym chórem. Ile biedny autor musiał wyciągnąć ze swej duszy żądełek, ile znieść szyderczych uśmiechów i przygryzków, ile razy mu zbladła nadzieja otrzymania 1,000 rs. nagrody! A strzałki nie przelatywały mimo niego, lecz więzły mu w sercu. Pomimo bowiem starannie ukrytej w kopercie tajemnicy, zaraz po pierwszem przedstawieniu „Flirtu“ wskazywano palcem jego autora. Nawet sprawozdawcy wyznali publicznie, że owa koperta stała się dla nich przejrzystą i że tylko dla przyzwoitości nie zdradzają nazwiska. Gdyby chodziło tylko o przyzwoitość, wystarczyłaby taka dyskrecya, ale tu podobno chodzi o bezstronność w sądzeniu utworów nadesłanych na konkurs. Co się stanie z tą bezstronnością, gdy przysięgli na ucho szeptać albo nawet głośno mówić będą, kto jest autorem każdej przedstawionej komedyi lub dramatu? Wtedy wysnuje się prawdziwa komedya, która zamiast utworów rzuci na szalę osoby a wraz z niemi rozmaite stosunki i względy. Jeżeli zaś w jakimś wypadku domyślność omyli się i sędziowie w mniemaniu, że wieńczą p. Jana, po otworzeniu koperty przekonają się, że ozdobili palmą p. Antoniego, powstanie wysoce zabawna farsa, która w należytem opracowaniu powinna zbogacić repertuar sceniczny. Bądź co bądź, „sezon“ jesienny dzięki konkursowi zapowiada się nieźle. *O.*

Odwrót.

Krzyk, podniesiony przeciwko nadmiernemu podwyższeniu cen cukru, nie przestraszył, ale troszeczkę zaniepokoił fabrykantów, związanych umową, którzy postanowili uciszyć go jakimś nic ich nie kosztującym czynem wspaniałomyślności. Na zebraniu tedy (19 b. m.) w Kijowie uchwalili znieść na obecną porę obowiązek wywożenia za granicę cukru wyrobionego po nad określoną dla każdego producenta normę (środek ten zastosowano dla zapobieżenia nadmiarowi i obniżki cen towaru) oraz pozwolić wszystkim wprowadzić na rynek wewnętrzny całą ilość. Gdyby mimo to cukier (dzięki obrotom spekulacyi) nie staniał, w takim razie fabrykanci zaczną go sprowadzać z zagranicy i tym sposobem wywrą nacisk na ceny miejscowe. Oto jest ofiara sytych, albo raczej przesyconych, złożona na ołtarzu dobra publicznego głodnych. Cóż mamy na nią powiedzieć? Idąc drogą logiki wielu pism naszych, powinnibyśmy zmartwić się srodze obniżką zysków tej gałęzi naszego przemysłu, na której niedawno jeszcze, w epoce cukrowego raju, rosły owoce 100% dywidend. Tymczasem znowu małe brzuchy każą nam się cieszyć tem dobrowolnem zesznurowaniem dużych. Czy dobrowolnem? Bo złośliwi szepczą, że gdyby p. minister skarbu nie zagroził producentom otworzeniem granicy dla cukru obcego, możeby ich nie ogarnęła wspaniałomyślność... Kto wie, dlaczego zakomenderowano do odwrotu!

Z gospodarki rzemieślniczej.

Nasi rzemieślnicy, wogóle niezbyt podatni do wszelkich reform i nowości, mających dobro ich własne na celu, w ostatnich czasach starają się robić tu i owdzie wyłomy w zanadto stwardniałym przez starość murze tradycyi. Obecnie zaczynają się ruszać czeladnicy garbarscy, którzy na posiedzeniach ośmielili się poddać krytyce gospodarkę dawną i przyszli do przekonania, że należy koniecznie wprowadzić reformy dla utrwalenia gruntu na wypadek utraty sił i zdolności do pracy. Najpierw uchwalono powołać do życia radę gospodarczą, która może ustanawiać nowe prawa, obowiązujące wszystkich członków, udoskonalać obecne, tudzież dbać o dobro ogólne czeladników. Do rady tej wybrano większością głosów 52 czeladników, pierwszą zaś jej czynnością było uporządkowanie opłaty składek szpitalnych. Szczególnie czeladnicy wyjeżdżający z Warszawy bardzo nieregularnie płacą, a po powrocie niechętnie przystępują do uiszczenia zaległości, pomimo iż raty są nadzwyczaj małe. Wobec tego jest poprostu ryzykowne nadawanie im praw, z jakich korzystają rzetelnie płacący. Otóż nadal przyjęto za zasadę, że kto jest nieakuratny, pozbawiony będzie prawa do wsparć. Jeżeli zaś zechce na nowo należeć do kasy szpitalnej, może być przyjęty z warunkiem pokrycia zaległości według określonych norm. Nadto składkę miesięczną postanowiono podnieść o 10 kop., dla zasilenia tą podwyżką kasy pomocy i wsparć, z której korzystają: wdowy po czeladnikach, chorzy nieuleczalni i znajdujący się w szpitalu, lecz żonaci i dzietni, czeladnicy biedni w razie śmierci w rodzinie; dalej — pozbawieni przez czas długi zarobku, wreszcie wszyscy, których dotknął jakikolwiek wypadek nieszczęśliwy. Ze wsparć korzystać można raz tylko do roku. Czeladników-starców postanowiono zwalniać od opłaty składek i pozostawić im swobodę korzystania ze wszystkich praw. Obecnie z powodu niewielkich jeszcze funduszów, tylko czterech starców pobiera zapomogi po rs. 6 kop. 50 miesięcznie, jeden zaś rs. 4 k. 36. Dla stałego zabezpieczenia starości czeladnicy projektują założenie przytułku wyłącznie dla garbarzów. Potrzebny atoli kapitał przekracza ich siły, więc mają kołatać o pomoc do majstrów i przemysłowców. Oby skutecznie!..

Tkacze myślą także o utrwaleniu swej przyszłości za pomocą rozszerzenia ciasnych ścian cechowych; ale na miejscu starych murów kopią parowy. Zgromadzenie tkaczów liczy zaledwie sześciu członków; bardzo słusznie więc robi, że się łączy z cechem pończoszników; śmieszny jest atoli i wielce charakterystyczny protest pp. majstrów przeciwko dopuszczeniu kobiet-pończoszniczek. Średniowieczczyzna głębiej się wżarła w organizacye cechowe naszych rzemieślników, niżeli niechlujstwo w domach właścicieli spekulantów; bo gdy w tym ostatnim wypadku wystarcza przymusowa kanalizacya, w pierwszym nikt za pomocą siły przekonywania nie rozszerzy i nie zmieni kierunku wązkich wyżłobień, po których płyną pojęcia pp. majstrów. *Zn.*

Kasa fotografów.

Pracownicy zakładów fotograficznych, tanio, na lichych warunkach swą pracę i osobę sprzedający, od lat kilku starają się zbudować takie rusztowanie, które pozwoliłoby uczuć oparcie pod nogami. Dotychczas pracują oni około gmachów swych pracodawców, na pół zawieszeni w powietrzu i lada chwila za najlżejszym podmuchem niezadowolenia pryncypała oczekują stoczenia się na dół. Zresztą wiele z tych gmachów bardzo się rysuje i rozpada, szczątki zaś owych zwalisk zabierają mocniejsi. W każdym jednak razie Warszawa ma sporo firm cieszących się „dobrą marką“ i posiadających znaczną liczbę pracowników. Na pochwałę zasługują zabiegi około organizacyi stowarzyszenia i kasy własnej zaliczkowo-wkładowej. Pomimo iż pierwotny projekt, wzorowany w wielu punktach na ustawie Towarzystwa subjektów handlowych, nie uzyskał zatwierdzenia władzy, interesowani nie dali za wygranę i obecnie opracowali nową ustawę w szczuplejszych granicach, tj. chcą stworzyć instytucyę wzajemnej pomocy bez charakteru klubowego. Zadaniem kasy ma być wzajemna pomoc przez udzielanie pożyczek, zapomóg, wyszukiwanie posad dla uczestników itd. Członkami mogą być wszyscy bez wyjątku pełnoletni pracownicy fotograficzni (retuszerzy, kopiści, kolorujący itd.) zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Członkowie składają obowiązkowo po 3 rs. wpisowego i 50 k. składki miesięcznej. Projekt przesłano już władzy do zatwierdzenia. Jakkolwiek liczba pracowników tego rodzaju jest dość znaczna, nie tak atoli wielka, iżby mogła drogą składek zebrać znaczny fundusz, tem bardziej, że oznaczona w ustawie suma wpisowego nieraz stanowi czwartą lub piątą część płacy miesięcznej. Czyby zatem nie właściwiej było przyłączyć się do innego stowarzyszenia? Zakłady fotograficzne są również jak inne, przedsiębiorstwem kupieckiem, a więc, niech się pracownicy fotograficzni przyłączą do utrwalonego już stowarzyszenia subjektów handlowych i przemysłowych. Zyskaliby tym sposobem nie tylko kasę, ale i biuro rekomendacyi pracy, tudzież wszelkie przywileje klubowe, zdobywszy zaś silniejsze oparcie, możeby mniej byli skłonni do poddawania się wyzyskowi przedsiębiorców, którzy bardzo często posługują się bezpłatnymi praktykantami.

...ir.

Pożegnanie.

Generył Starynkiewicz zdał służbę swojemu następcy, gen. Bibikowowi. Żegnając się serdecznie z całym składem swoich podwładnych i współpracowników, tak przemówił do radnych Magistratu:

„Wiadomo wam, panowie, że będąc w służbie, pracowałem wiele, niejednokrotnie nawet aż do wyczerpania sił, wiadomo wam też, że obowiązki służbowe bywają niekiedy ciężkie i wymagające ofiar. Dlatego dziś, gdy przy schyłku życia mego otrzymałem uwolnienie ze służby; moglibyście przez współczucie dla mnie winszować mi tego spoczynku, gdyby nie było wam wiadomo, że służba dawała mi także dużo szczęścia. Dla każdego bezwątpienia posiada ona swoje przyjemne strony — już jako pole do działania, już to jako zadosyćuczynienie ambicyi, wreszcie jako istotne zwiększenie środków do życia. Nasza wszakże służba magistracka ma jeszcze jedną pociągającą stronę, dla której zapomina się o wszystkich przykrościach, gdyż w niej gra rolę serce. Głównym celem tej naszej służby jest zapewnienie mieszkańcom miasta jak największej ilości wygód i pożytków, to jest korzyści takiego rodzaju, które niewątpliwie odpowiadają powszechnemu życzeniu. Przy spełnianiu podobnych obowiązków służby należy wsłuchiwać się w głos ogółu, pomagać prawidłowemu wytwarzaniu się opinii publicznej w sprawach gospodarki miejskiej, a po za tem potrzeba już tylko sumienności i konsekwencyi w działaniu, ażeby wyrobiły się pomiędzy urzędnikami a społeczeństwem dobre, niejako rodzinne stosunki, śród których o przykrościach i ofiarach nie może być mowy. Wówczas i współpracownicy w służbie, złączeni między sobą nietylko swymi regulaminami, nietylko ogólnym celem, ale i wspólnem dla wszystkich uczuciem, stają się względem siebie ludźmi pokrewnymi sercem. Dlatego bolesnem dla mnie jest rozstanie z wami, równie jak i z miastem. Miałem nadzieję umrzeć na dotychczasowem stanowisku, lecz zabrakło mi sił.

Bywajcie zdrowi, panowie! niech wam Bóg pozwoli służyć z moim następcą nie mniej użytecznie, jak służyliście ze mną! Wdzięczności mojej nie wypowiadam wam, bo jakież ona może mieć dziś znaczenie? Ale uczciwie dzielę się z wami tą wdzięcznością, jakiej dowody otrzymuję od mieszkańców miasta; znaczna jej część wam się należy.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ruch przemysłowy. Agenci i komisyonerzy fabryk łodzkich wyruszyli gromadnie na rynki Cesarstwa dla przyjęcia i zebrania zamówień towarów na sezon letni r. 1893. Owoce ich zabiegów są już widoczne, ze wszystkich bowiem stron nadchodzą bardzo korzystne dla fabrykantów zlecenia tymczasowe, skutkiem czego produkcya towarów wełnianych już się znacznie ożywiła. Najwięcej zamówień nadchodzi z Moskwy na kamgarny, szewioty i sztrajchgarny lekkie, które kupcy tamtejsi wyślą w znacznej ilości na najbliższy jarmark w Irbicie, cieszący się zwykle wielkiem ożywieniem. Za to niepomyślnie się przedstawia stan rzeczy pod względem wypłat za ubiegły sezon zimowy. Protesty wekslowe są na porządku dziennym, a nadchodzące z Cesarstwa wiadomości o zachwianiu najpoważniejszych znanych firm kupieckich, wywołały trwogę śród przemysłowców łódzkich, od wypłat bowiem zależy całokształt rezultatów ubiegłego okresu zimowego. Epidemia wogóle podziałała paraliżująco na przemysł i handel w Królestwie, najbardziej w miejscowościach dotkniętych przez nią. Cierpią na tem również inne działy pracy, których pomyślność zależy od powodzenia wszelkich gałęzi wytwórczości i wymiany. W Lublinie np. rejenci mają obecnie o połowę mniej zajęć niż zwykle. Zastój odczuwa także wydział hypoteczny przy tamtejszym sądzie okręgowym. Najbardziej cierpią najemnicy, którzy się trudnili przepisywaniem akt i sporządzaniem kopii z różnych dowodów. Bardzo również odczuwają zastój kupcy i przedsiębiorcy. Oto, co pisze *Gazeta losowań*: „W tutejszych sferach handlowych zwrócono uwagę na niezwykłą ilość weksli protestowanych, nadchodzących z Lublina. Kupcy tamtejsi do tego stopnia ucierpieli, iż wielu na razie zobowiązań swych spełnić nie może... Wszelkie żądania prolongat z Lublina należałoby możliwie uwzględniać.“

Cukier. Znany potentat rynku cukrowego, p. Kenig, taką miał rozmowę z pewnym współpracownikiem pism petersburskich w przedmiocie drożyzny tego produktu:

„— Ceny cukru bynajmniej ode mnie nie zależą. Mój wpływ nie sięga tak daleko, ażebym mógł według upodobania ustanawiać taką lub inną cenę. Zwyżka obecna nastąpiła bez mojego udziału z następujących przyczyn: 1) wskutek wprowadzenia akcyzy dodatkowej po 40 kop. od puda, 2) z powodu ogólnego nieurodzaju buraków. Są to względy bezpośrednie, po za nimi jest jeszcze jeden pośredni: wysokie cło (3 ruble złotem) od piasku zagranicznego. Gdyby cła tego nie było lub ograniczono je do rubla, nieurodzaj buraków możnaby było neutralizować sprowadzaniem piasku zagranicznego i wyprodukować odpowiednią ilość cukru bez podwyższenia cen jego.

— Czyż nieurodzaj buraków jest w roku bieżącym tak ogólny?

— Ogólny. Dotąd zbierano z dziesięciny sto czterdzieści berkowców, obecnie w miejscowościach wyjątkowych dziesięcina daje dziewięćdziesiąt berkowców, w innych czterdzieści do trzydziestu. Jeżeli zaś z berkowca otrzymujemy pud piasku, łatwo jest wyliczyć, jaki nieurodzaj podobny musiał wywrzeć wpływ na ogólną produkcyę cukru.

— Więc drożyzna obecna jest wyłącznie następstwem zwyżki ceny piasku?

— Niezawodnie... My, rafinerzy, nabywaliśmy go przedtem po 4 rs. za pud, obecnie płacimy pięć i pół, a nawet sześć. W roku bieżącym stoimy tak źle, iż ja sam myślałem już o zamknięciu fabryki i przeczekaniu kryzysu... Nie uczyniłem tego jedynie z uwagi na sześciuset robotników, którzy mogliby zostać bez chleba... A wiadomo też panu, jaka jest ogólna suma płacy otrzymywanej przez robotników cukrowniczych w Rosyi?

— Nie.

— Ni mniej, ni więcej, tylko 225 cukrowni daje robotnikom rocznie 92 miliony rubli...“

Wszystko to być może; dlaczego jednak p. Kenig nic nie wspomniał o spekulacyi i o podjętych przeciw niej środkach zaradczych na zebraniu fabrykantów w Kijowie? Czyż tyle złego nabroiłby istotnie sam nieurodzaj buraków?

Spółka spożywcza. Z d. 13 października rozpoczęło działalność stowarzyszenie spożywcze dla urzędników kolei Terespolskiej, zatwierdzone przez ministeryum spraw wewnętrznych. Każdy uczestnik zobowiązał się dobrowolnie, iżby mu należność za wybrane produkty strącano z pensyi, dziennym zaś robotnikom z wynagrodzenia dwutygodniowego. Kredyt w sklepie nie może przekraczać 30% pobieranego wynagrodzenia. Radę stowarzyszenia stanowi 12 uczestników, wybranych większością głosów przez ogół w maju. Ponieważ z liczby tej czterech już wyszło ze służby, więc miejsce ich zajęli ci z kandydatów, którzy przy wyborach największą ilość głosów otrzymali. Prezesem stowarzyszenia został p. Witold Kiślański, buchalterem p. Antoni Grzeboliński, kasyerem p. Włodzimierz Mroczkowski. Dotychczas zarządzał sklepem p. Julian Moliński, starszy rachmistrz wydziału rachuby, który opuszcza służbę kolejową z dniem 13 listopada.

Akcyza. Z powodu zamierzonego podniesienia akcyzy od piwa, zebrano następujące dane statystyczne: W r. z. największą sumę podatkową od wytworzonego piwa zapłaciło Królestwo Polskie 1,097,821 rs.; drugie z rzędu miejsce zajmują gub. petersburska i moskiewska: 1,068,310 rs., dalej: gub. nadbałtyckie 894,892 rs., północno-zachodnie (wileńska, witebska, grodzieńska, kowieńska, mińska i mohylewska) 546,992 rs., południowo-zachodnie (wołyńska, kijowska i podolska) 218,286 rs., południowe (astrachańska, besarabska, jekaterynosławska, ziemie wojska duńskiego, gub. taurydzka i chersońska) 431,728 rs. Najmniejszą akcyzę wniósł kraj Zakaukazki — 67,441 rs. Ogólna suma podatku od piwa dała skarbowi 5,118,221 rs.

Inspektorat podatkowy. Z powodu ciągłego wzrostu liczebnego zakładów handlowych i przemysłowych w Warszawie, obecna liczba inspektorów podatkowych stała się niedostateczną; skutkiem tego postanowiono zwiększyć inspektorat, tudzież podzielić miasto na nowe okręgi i rewiry handlowe.

Handel rybny. Wobec zamierzonego urządzenia przez kolej Riazańsko-Uralską specyalnych składów ryb w Saratowie, znaczniejsi przemysłowcy rybni astrachańscy i uralscy zwrócili się do zarządu tej kolei z prośbą o utworzenie takich składów w Tambowie, Kozłowie, Rogowie i innych stacyach kolejowych. Interesowani dążą ku temu, ażeby handel rybny z głębi Rosyi rozszerzyć i wyrobić zbyt na krańcach państwa.

Nowe fabryki. W pobliżu rogatki Mokotowskiej wkrótce puszczona będzie w ruch fabryka parowa narzędzi i maszyn rolniczych założona przez przemysłowca miejscowego. Na Pradze budowany jest obecnie gmach dla pomieszczenia nowej fabryki przetworów chemicznych i farb mineralnych. Na ulicy Przyokopowej specyalista tutejszy urządza pierwszą parową fabrykę maszyn młynarskich, która zatrudniać będzie kilkudziesięciu robotników i rzemieślników. Wreszcie rozpocznie wkrótce działalność specyalna fabryka guzików z motorem gazowym, której właścicielem jest tutejszy kapitalista i fabrykant. Jak widzimy, pomimo narzekania fabrykantów na ciężkie czasy, wielki przemysł ożywia się i rozrasta.

Spółka rybna Nr 2. W okolicach Kleczewa świeżo zawiązana została nowa spółka rybna, złożona z czterech właścicieli ziemskich: hr. Kwileckiego z Gosławic, hr. Mielżyńskiego z Kazimierza, W. Mierzyńskiego z Wąsosz i W. Sikorskiego z Mikoszyna. Spółka ma trwać lat 15 i posiada dogodne warunki dla rozwoju jeziora slesińskie wolne od służebności i ciężarów. Obejmują one ogólej przestrzeni 2,500 morgów 300-prętowych; część ich była zarybiona, połów zaś w ciągu trzech lat ostatnich — wstrzymany. Obecnie dają one rocznie około 200 centnarów ryb na przestrzeni około 1100 morgów. Resztę jezior dopiero teraz zarybiono. Przedsiębiorcy mają na celu pielęgnowanie i aklimatyzacyę „szlachetnych“ gatunków ryb. Zbyt podobno skierowany będzie głównie za granicę: do Poznania, Bydgoszczy i Berlina. Na początek zarybek sprowadzony będzie z zagranicy, jednocześnie powstanie tak zwana „wylęgarnia zimowa“ dla ryb łososiowych i stawy wylęgowe dla ryb letnich.

— Ministeryum skarbu urządza ankietę dla oznaczenia dochodności ziemi w stosunku do gubernii i powiatów. Zajmą się tem komitety, do których wejdą delegaci z ministeryum: skarbu, spraw wewnętrznych, dóbr państwa, zarządu mierniczego, tudzież przedstawiciele zpośród właścicieli ziemskich, ziemstw i towarzystw gospodarczych.

— Ministeryum skarbu wprowadza przepis, ażeby wszystkie interesy handlowe prowadzone były pod firmą istotnych właścicieli. Jeśli dla jakichbądź względów i utrwalonego nazwiska dawnej firmy następcy dozwolone będzie zatrzymanie tytułu poprzednika, to tylko z takim warunkiem, ażeby na szyldach, blankietach, rachunkach i wszelkich dokumentach było wymieniane nazwisko prawdziwego właściciela.

— Ekspedycya papierów państwowych puszcza w obieg bilety kredytowe nowego formatu: 10, 5, 3 i 1-rublowe na ogólną sumę 25 milionów rubli.

— Według doniesień gazet ruskich, ma być ograniczona produkcya zapałek fosforowych przez podwyższenie obecnego podatku z $^1/_4$ do $^1/_2$ kop. od paczki zawierającej 75 sztuk. Z istniejących w Rosyi 290 fabryk tylko 90 wyrabia zapałki szwedzkie, z ogólnej zaś liczby 142,844 mil. sztuk na szwedzkie przypada zaledwie 24%.

— Konsulat szwajcarski w Petersburgu zawiadamia, iż przy skorzystaniu ze zniżonych stawek taryfowych szwajcarskich nie będzie nadal wymagane specyalne świadectwo pochodzenia jej płodów południowych i wszelkiego rodzaju włosia.

— W Rewlu powstanie wkrótce zakład rolniczo-aklimatyzacyjny z oddziałami hodowli owiec, koni, nierogacizny, bydła, ptaków domowych itd. Głównym celem zakładu jest robienie ciągłych prób z aklimatyzacyą celniejszych ras bydła zagranicznego, ażeby na mocy otrzymanych rezultatów dać możność miejscowym hodowcom zaprowadzania u siebie poprawnego inwentarza.

— Według szkicu budżetowego na rok 1893 cyfrę ogólną rozchodów kasy państwa obliczono w sumie 69,713,216 rs., tj. więcej niż w r. b. o 2,147,462 rs. Dochody kasy wynoszą 32,255,802 rs., czyli mniej o 1,342,526. Jedną z ważniejszych rubryk rozchodu stanowią pensye w ogólnej sumie 30,754.000 rs. W latach poprzednich wypłata pensyi stanowiła: r. 1889 — 27,533,732 rs., 1890 roku 28,284,900 rs. i 1891 roku 28,968,505 rs.

Z rynku.

Targi warszawskie. *Plac Witkowskiego* 24 października. Dzięki przyjaznym warunkom atmosferycznym wiatraki w ostatnich dniach były bardzo ożywione, skutkiem tego ceny podniosły się nieco. Za pszenicę płacono 6,50—6,75 (korzec), za białą 6,30—6,40. Żyto wyborowe kupowano po 4,95--5,10, owies 2,85—3,30, groch 6,75. *Na targu prazkim* żyto miało dobry pokup za wyborowe płacono 87—88 k. (pud), średnie 83—86, pospolite 78—81, owies wyborowy 80—83, gryka 90—93, jęczmień browarny 78—92, kasza jaglana 96—107 kop.

Okowita. 25 października. Hurtowa wiadro 100° brutto z potr. 2% 11,04, netto bez potr. 10,83; wiad. 78° z potr. 8,61 n. bez potr. 8,44. Szynkowa: w. 100° br. z potr. 2%—11,19, n. bet potr. 10,98, wiad. 78° brutto z potr. 2%—8,72, n. bez potr. 8,56. W Rektyfikacyi na miejscu wiadro 100°—10 rs. 75 k.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Rada lekarska opracowała nową ustawę dla aptekarzów, która określa nietylko ich prawa w stosunku do tytułów i stopni naukowych, lecz nadto przepisy o aptekach (normalnych, wiejskich, ziemskich, szpitalnych itd.), o prawach i obowiązkach właścicieli, o handlu materyałami aptecznymi, chemicznymi i farbami. Do ustawy włączono również opracowaną przed tem taksę aptekarską, tudzież przepisy, obowiązujące fabryki i laboratorya, wyrabiające różne preparaty, wody mineralne, kosmetyki itd. Oddzielne paragrafy obejmują kary za naruszenie przepisów.

— Na mocy ukazu senatu rządzącego, kobiety, które należą do stanu opodatkowanego, a otrzymały świadectwa na guwernantki lub nauczycielki domowe — zostały uwolnione na równi z mężczyznami od podatku podusznego. Świadectwa atoli nauczycielskie nie mogą służyć za legitymacye paszportowe.

— W Mińsku gubernialnym nadchodzące wybory „głowy miasta“ odbywać się będą już na zasadach nowej ustawy miejskiej. Ludność żydowska nie bierze w nich wcale udziału. Liczba wyborców nie dojdzie do 250, podczas gdy r. p. wynosiła 1700 osób.

Szkoły. Ministeryum oświaty, mając na względzie pożyteczność ćwiczeń gimnastycznych w zakładach naukowych, wprowadzi nowe obowiązujące w tej mierze przepisy, z uwzględnieniem: zabaw, przechadzek, gry itd.

— Zakłady naukowe prywatne: 1-klasowa szkoła żeńska, utrzymywana przez panią Kostjakiewiczową w Kielcach, 1-klasowa ogólna p. Ruszkowskiej we Włocławku i także zakład p. Krysickiego we wsi Chrościnie (pow. płocki) zostały zamknięte.

— W Samborze otwarto nowe seminaryum nauczycielskie.

— Francuski minister oświaty polecił, aby pierwszy dzień roku szkolnego poświęcony był zabawie.

— Uniwersytet japoński w Tokio liczył w ubiegłym roku szkolnym 467 studentów, z których 240 słuchało wykładów w języku angielskim, 204 w niemieckim, 23 we francuskim. Najwięcej uczęszcza na medycynę (wykłady w jęz. niemieckim).

Prasa. Jak donoszą radomskie *Gubern. Wied.*, zawieszone na ośm miesięcy wydawnictwo *Gazety Radomskiej* z dn. 1 lutego 1893 r. przejdzie w inne ręce.

— W Towarzystwie ogrodniczem dr. Bujwid wygłosił odczyt: „Istota zarazka cholerycznego oraz rozwój epidemii w Królestwie.“

— W Chicago podczas wystawy wychodzić będzie tygodnik w języku angielskim p. t. *Art and Treedom.* Celem jego — zaznajamianie ogółu wszechświatowego z działalnością naszych artystów i literatów w różnych gałęziach pracy.

Zdrowie publiczne. Z powodu zjawienia się na targach fałszowanego nabiału, przeważnie u przekupek, postanowiono robić stałe codzienne rewizye przy udziale komisarza cyrkułowego, chemika i studenta medycyny z 5-go kursu. Rewizye te odbywane są nie tylko na targach, ale i przy wjeździe do Warszawy około rogatek. W razie wykrycia nadużyć winni pociągani będą do odpowiedzialności.

— Ministeryum skarbu zastosowało w życiu artykuł prawa, wzbraniający mieszania jakichkolwiek, chociażby zdrowiu nieszkodliwych dodatków, nie tylko do wyrobu piwa, ale do wszystkich mocnych napojów.

— Według dokonanych w ostatnich dniach badań bakteryologicznych filtrowanej wody wiślanej nie zawiera ona wcale drobnoustrojów chorobotwórczych.

— W urządzonem przy szpitalu Dzieciątka Jezus ambulatoryum ubodzy chorzy przyjmowani są bezpłatnie i otrzymują lekarstwa tudzież opatrunki na rachunek sumy udzielonej na ten cel przez magistrat. Chorzy mogą przychodzić dla porady w chorobach wewnętrznych i zewnętrznych, tudzież w cierpieniach dzieci, codziennie, nie wyłączając świąt, od 9-ej zrana do 3-ej po południu.

— Podług urzędowego wykazu w ciągu miesiąca od 13 sierpnia do 13 września r. b. zmarło w Warszawie 1500 osób, mianowicie: 764 mężczyzn i 736 kobiet. Najwięcej zabrał nieżyt kiszek — 431, dalej zapalenie płuc 138, suchoty 107. Z chorób zakaźnych: ospa 38, odra 24, szkarlatyna 79, tyfus brzuszny 16, błonica 67, dysenterya 33. Wogóle na choroby zakaźne zmarło 284 czyli w stosunku do ogólnej śmiertelności 19,99%.

— Pierwszy wypadek cholery spostrzeżono w Wiedniu.

Zmarli. Michał Gruszecki dziennikarz, w Żytomierzu.

— Dr. Ksawery Witkowski w Tomaszowie Rawskim. Pisywał artykuły popularne.

— Józef Stiche, jeden z najstarszych ogrodników u nas, b. wice-prezes Towarzystwa ogrodniczego, twórca wielu ogrodów. Pochodził z Czech.

— Jerzy Bleibtreu, malarz niemiecki.

— Ksawery Marmier, akademik francuski, powieściopisarz, podróżnik i historyk literatury.

— Lothar Bucher, powiernik Bismarka i długoletni jego współpracownik.

— Mieczysław Kamieński, przyrodnik, uprawiający przeważnie kwiaciarstwo i technikę ogrodniczą.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 16 Октября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.